

Gr
8

PRZEŻYLIŚMY GROSS*ROSEN



9
Inhaft
GRO-R
18
Bd.2:Heft 2

TOM II
Zeszyt 2

7/9r/38

Wir überleben - - -

Tom II

Filiale des KL Gr R

Heft 2:

Kommando

Fünflichen

ITS
Internationaler Suchdienst

Bibliothek KINIAFT GR R 23, Bd. 2, 114/2

16. 12. 86.

INTERNATIONALER
SUCHDIENST
3548 AROlsen (Waldeck)

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II. Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen

Zeszyt 2. Kommando Fünfteichen

Na prawach rękopisu

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1983

INTERVAL WATER
SUCROSE
SUCROSE

EXPERIMENTAL PROCEDURE

1. Weigh 100 g of sucrose and 100 ml of water into a beaker.

2. Stir the mixture until the sucrose is completely dissolved.

3. Measure the volume of the solution.

4. Calculate the concentration of the solution in g/100 ml.

5. Repeat the experiment with different concentrations.

Zespół redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Dudowa, Feliks Kidawa,
Witold Kulisewicz, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna,
Zdzisław Raź, Andrzej Romanow, Feliks Sikora,
Henryk Uchman, Juliusz Zagórski

przy współpracy:

Michała Czebiłakowa, Józefa Idczaka, Stanisławy Kożuchowskiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Marii Malec-Więckowskiej, Janiny Padzik, Edwarda Roguskiego, Olgierda Schaefera, Ireny Wąsierowskiej, Bogdana Wierzejewskiego, Piotra Wojciszewskiego

Projekt okładki: Włodzimierz Kern

Zdjęcia: Archiwum Gross-Rosen
reprodukcje z książki A. Bużata i W. Dominika
pt. "Aż stali się prochem i rozpaczą"
wyd. K.A.W - Wrocław 1980

Redaktorzy Zeszytu: Zofia Doboszyńska,
Andrzej Romanow, Henryk Uchman

Spis treści

	str.
Andrzej Romanow - Aby świadczyć faktom	5
Zdzisław Brodzki - W hitlerowskim obozie Fünfteichen filii Gross-Rosen	6-20
Leonard Kosiński - Tego nie można zapomnieć...	22-25
Wacław Kolenda - Fünfteichen - styczeń 1945 rok	26-28
Józef Kobyliński - Od krat więziennych	29-35
Edmund Szenkowski - Drogą przez mękę trafiłem do piekła .	36-38
Jerzy Przybyłek - Pamiętam...	39-42
Stanisław Roman - O Ruchu Oporu w Fünfteichen	43-46
Tadeusz Piechowicz - Dzień po dniu	47-48
Tadeusz Fabjański - Życie obozowe w Fünfteichen	49-54
Zygmunt Czerwiński - Ucieczka z obozu	55-69
Henryk Uchman - Częściowy wykaz więźniów Fünfteichen	70-74

ABY ŚWIADCZYĆ FAKTOM ...

Wielka przyjaźń nawiązana między starożytnym filozofem Arystotelesem a królem Aleksandrem Wielkim, gdy na dworze Filipa II Macedońskiego Arystoteles był wychowawcą kilkunastoletniego następcy tronu, Aleksandra, została gwałtownie zerwana w pierwszym roku wojen perskich. Różnie tłumaczą historycy to zerwanie; w jakimś sensie przyspieszyło ono przecież koniec życia Arystotelesa, tak bogatego w dorobek naukowy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że wybitny już wtedy filozof kontynuowania tej przyjaźni nie pragnął. Naocznie przekonał się bowiem, iż pierwsze już nad Persami zwycięstwa to nie tylko wodzowskie talenty i oczywiście sława 21-letniego króla Aleksandra, ale także masy ludzi zniszczonych biologicznie, lub moralnie i fizycznie. Choć Arystoteles zdawał sobie sprawę ze związku tych nieszczęść z warunkami toczzonej wojny, to jednak nie mógł on "usprawiedliwić" przyczyny dla tak nieludzkiego jej skutku.

Masowa śmierć wielu ludzi jako skutek prowadzenia wojen albo na większą skalę podejmowanych jakichś przedsięwzięć, np. budowa egipskich piramid, jest znanym w dziejach zjawiskiem. Zajmowane wobec nich postawy oparte są na kulturowym i cywilizacyjnym dorobku, na prawnych i etycznych zasadach uznawanych indywidualnie przez każdego człowieka, grupy ludzi, narody, kraje, kontynenty.

Faktem jest, że związek przyczynowo-skutkowy przyjmuje osobliwą postać w dobie faszyzmu, hitlerowskiej ideologii. Zmieniają miejsce "skutek" i "przyczyna". Nie spotykanych dotąd rozmiarów zagłada ludzi nie była skutkiem tylko wojny. Przeżyliśmy "Gross-Rosen", aby świadczyć faktom: to było ludobójstwo !

W HITLEROWSKIM OBOZIE FUNFTEICHEN - FILII GROSS-ROSEN

1. Selekcja więźniów w Gross-Rosen

Po przybyciu we wrześniu 1944 r. transportem z powstania warszawskiego do Gross-Rosen i otrzymaniu numerów obozowych, wszyscy więźniowie zostali zakwaterowani na blokach Nr 9 i 10, przeznaczonych dla nowo przybyłych, tzw. zugangów, dla wyeliminowania zakażnie chorych lub niezdolnych do pracy.

W tym czasie przydzielony zostałem do bloku Nr 10, którego blokowym był młody Austriak, wysoki, przystojny i energiczny mężczyzna. Lubił on twardą dyscyplinę i porządek, w tym utrzymywanie ścisłej higieny osobistej. Za znalezienie jednego insekta obiecywał "nagrodę". Do pomocy miał sztabowych i szlafsalowych, z których szczególnie jeden był bardzo aktywnym i gorliwym w wykonywaniu poleceń swego szefa blokowego. Głos miał ochrypły, lecz donośny, wszędzie było go pełno, a specjalnie dawał się we znaki więźniom podczas lokowania ich do snu. W barakach przeznaczonych na kwarantannę nie było łóżek, toteż spanie odbywało się na niewielu siennikach rozkładanych na noc bezpośrednio na podłodze. Ilość więźniów była tak duża, że szlafsalowy używał bambusowego kija do ubijania spragnionych snu, czyniąc to w ten sposób, że układał więźniów w bocznej, leżącej pozycji.

W ciągu nocy atmosfera była nie do zniesienia. Panujący zaduch z wydzielanego potu tak zmasowanych ciał doprowadzał do mdłości. Ludzie cierpiący na choroby żołądka lub pęcherza zmuszeni byli opuszczać swoje legowiska i udać się do ubikacji, mieszczącej się w drugiej części bloku. Takie sytuacje powodowały powrót do miejsca, które z reguły było już zajęte przez rozluźnienie się pozostałych kolegów. Następowoło deptanie w ciemnościach, co wywoływało reakcje w postaci wzajemnego kopania się i wyzwisk. Najczęściej wychodzący zmuszeni byli czekać w przedsionku na poranną pobudkę.

W dzień mieliśmy obowiązek stać przed blokiem w dwuszeręgu i na komendę siadać lub stać. Tego rodzaju "zajęcie" było uciążliwe i męczące, uwzględniając istniejące warunki atmosferyczne na wierzchołku góry, na której zlokalizowany był obóz, czyli częste deszcze, na przemian słońce lub nękające wiatry. Ubranie nasze składało się w tym czasie ze spodni, bluzy, czapki i drewnianych czułek /bez bielizny osobistej/, nie mówiąc o skarpetach itp. W międzyczasie byliśmy przeprowadzani na Appelplatz, na którym odbywała się musztra w języku niemieckim /bacność, spocznij, czapki zdejm - włoż, szyk marszowy, zwroty itd./.

Wszelkie uchybienia, spóźnienia w wykonywaniu ruchów podczas musztry lub nieznanostwo swego numeru, wywołanego po niemiecku, powodowały indywidualne ćwiczenia karne, jak biegi wokół placu, żabki, czołganie się /lotnik/ względnie otrzymywanie kopniaków, bicie. Jeśli tych wykroczeń podczas musztry było więcej, przedłużano naukę, z jednoczesnymi zbiorczymi ćwiczeniami karnymi. Poruszanie się po blokach było zakazane. Do tego trzeba było mieć specjalne upoważnienie, z którego korzystała służba techniczno-konserwacyjna różnych urządzeń, np. elektrycznych lub kanalizacyjnych oraz inni funkcyjni więźniowie. Posiłki dwa razy dziennie donoszone były przez specjalnie wyznaczonych więźniów w kotłach-termosach.

Tylko chwilowa nieobecność blokowego mogła pozwolić na przeprowadzenie rozmów z kolegami czy z więźniami z sąsiednich bloków. Przy zgolonych głowach ze "sztrajfami" szerokości 6-7 cm trudno było poznać nawet najbliższych znajomych, których było wielu. Rozpoznałem wśród nich między innymi Mieczysława Jankowskiego z Warszawy, Romana Kucharczyka, Józefa Młynarczyka i wielu innych, przybyłych ze mną transportem z powstania warszawskiego.

Wreszcie skończył się okres kwarantanny, obowiązującej musztry, robienia porządków w obozie, takich jak czyszczenie szutru, którym wysypywane były wszystkie ścieżki i drogi przy blokach, czyszczenie z resztek trawy zasieków z drutu kolczastego przy ogrodzeniu parkanu obozowego. Doszła do nas wtedy obiecująca wiadomość o możliwości kierowania zangów do pracy na tzw. arbeitskomandach. I rzeczywiście, następnego dnia, po odczytaniu tej wiadomości po śniadaniu, zarządzono zbiórkę naszego transportu /ok. 600 osób/ w grupach po sto osób na placu apelowym. Ustawieni w szeregu czekaliśmy. W pewnej chwili przybyła komisja, składająca się z esesmańskiego kierownictwa obozu, na czele której stał major Wehrmachtu.

Podano odpowiednie komendy: Achtung!, Mützen ab! Przy tej poradzie nastąpiły indywidualne rozmowy i rejestracja numerów więźniów. Pytania stawiane przez komisję były następujące: wykształcenie, wykonywany zawód, lata praktyki, nazwa miejsca pracy, posiadane inne umiejętności zawodowe. Moje odpowiedzi były tak sformułowane, abym mógł być zakwalifikowany na wyjazd do arbeitskomanda. Podałem, że jestem absolwentem średniej szkoły mechanicznej, obeznanym z naprawą pojazdów samochodowych, że pracowałem w fabryce metalowej i podobne wymysły, gdyż zdawałem sobie sprawę, że odrzucenie mnie z transportu grozi skierowaniem do pracy w miejscowych kamieniołomach, co równałoby się bliskiemu kresowi mego życia. Tu muszę wyjaśnić, że moja sylwetka i stan zdrowia, mimo 23 lat, nie wskazywały na tężyznę fizyczną, możliwą do przetrwania obozu. Wpływało to ze złego odżywiania się podczas okupacji hitlerowskiej i z udziału w powstaniu warszawskim, podczas którego panował głód. W takiej też sytuacji była większość kolegów z ostatniego transportu. Znalazło to potwierdzenie przy rozmowie oficera z następnym więźniem, który przedstawił się jako inżynier elektryk, ze studiami na Politechnice Warszawskiej, odbytymi praktykami zawodowymi w Szwecji i Anglii oraz z 40-letnim stażem pracy zawodowej. Zapytany o wiek - 65 lat - został zakwalifikowany do krematorium.

2. Transport

Dalsze wypadki nastąpiły bardzo szybko. Nazajutrz o godz. 5 rano zostaliśmy wyczytani wg numerów na zbiórkę, zaopatrzeni w kromki chleba z plasterkiem margaryny oraz, co najważniejsze, w nowe pasiaki i nowe drewniane obuwie /bez płaszczy i bielizny osobistej/. Tak wyekwipowani na drogę, pod silną eskortą SS-manów zostaliśmy przeprowadzeni ok. 2 km do znanej nam już stacyjki kolejowej Gross-Rosen. Mijaliśmy uśpione jeszcze kamieniołomy, stojące wagoniki i lokomotywki parowe, dźwigi do przeładunku oraz śpiące miasteczko.

Transport kolejowy z Gross-Rosen odbywał się pod tym samym konwojem SS-manów. Po kilku godzinach, kiedy już się rozwidniało, przez okienka bydłących wagonów ujrzeliśmy Wrocław. Miasto, pod ówczesną nazwą Breslau, było już nam znane z transportu do Gross-Rosen. Mosty, baseny wodne i nurt Odry, liczne fabryki i duży

ruch - zrobiły na nas dodatnie wrażenie. Nie mogliśmy wtedy przewidzieć jeszcze, że Wrocław po wyzwoleniu będzie naszym miastem. Jazda pociągami trwała z przerwami i postojami na bocznicach do następnego dnia rano. Zatrzymani na małej stacji, zostaliśmy pognani pod wzmocnionym konwojem SS-manów wzdłuż bagnistej drogi polnej. Po półgodzinnym marszu ujrzelśmy we mgle bramę nowego obozu koncentracyjnego, ale takie same druty pod wysokim napięciem i drewniane strażnice z wartowniami górujące na linii ogrodzenia parkanu. Były też duże jupitery migające w ciemnościach po całym terenie obozu, a wokół, wzdłuż linii drutów, rozmieszczone bunkry naziemne żelbetonowe dla postów z SS-mańskich kompanii wartowniczych.

Znaleźliśmy się w obozie koncentracyjnym Fünfteichen, podległym Gross-Rosen. Budowany od 1942 roku, położony był na wolnej przestrzeni podmokłych łąk, pół kilometra od wsi i stacji kolejowej Miłoszyce, w rozwidleniu torów kolejowych na trasie Opole - Wrocław, tuż na jego przedmieściach. Powierzchnia terenu obozu przekraczała centralę w Gross-Rosen. Było to jedno z największych komand i mieściło się na terenie powiatu Oława, z osiągalnym stanem dziennym w latach 1944-1945 do 6000 więźniów.

Fünfteichen, jak większość obozów koncentracyjnych, przeznaczony było między innymi dla dostarczania taniej siły roboczej firmie Kruppa "Bertha-Werke", Markstadt, zajmującej się produkcją zbrojeniową. Zakłady te oddalone były od obozu ok. 2 km /obecnie znajduje się na tym terenie fabryka autobusów "Jelcz"/.

3. Rozkład dnia

Rozkład dnia pracy więźniów był następujący: pobudka - godz. 5 rano, mycie się w rynnowych umywalniach i śniadanie, składające się z 3/4 l wodnistej zupy, tzw. melki, 25 dkg chleba, którego właściwie trudno nazwać chlebem, i 2 dkg margaryny. Zbiórka na apelowym placu o godz. 6. Podczas pobytu w umywalniach, umieszczonych w specjalnym bloku, ukradkiem wymieniano za pajdkę chleba papierosy, tytoń krupczatkę. Za chleb i margarynę można było wymienić części odzieży lub innego pożywienia. Najwyższą siłę nabywczą posiadały papierosy, które regulowały wartość pozostałych artykułów i w zależności od ilości przynieszonego "towaru" cena była każdego dnia inna. Zbiórka na apelplacu następowała wg bloków. Następowoło zdawanie raportów raportfimerowi SS i raportfimerowi dla komendanta obozu o stanie liczebnym więźniów na blokach i na rewirze. Następną zbiórką była niezwłocznie po gongu obozowym wg przydziału pracy w halach fabrycznych oraz wymarszu poszczególnych kolumn roboczych esesmani jeszcze raz liczyli stan kolumn po stu ludzi każda.

Droga do fabryki wiodła początkowo przez przejścia torów kolejowych, następnie polem, wśród siatki z drutu kolczastego 3-metrowej wysokości, aż do bram fabryki. O godzinie 7 odbywały się zbiórki w halach fabrycznych i kolejne liczenie stanu więźniów, później zbiórki w poszczególnych działach produkcyjnych, tzw. szyfach, a następnie wymarsz na stanowiska robocze do konkretnej pracy. Dla bieżącego sprawdzania stanu liczebnego więźniów zarządzane były co 2 godz. zbiórki całej załogi. Następowowały one po podaniu sygnału przez syrenę fabryczną i nigdy nie trwały dłużej jak 5 min. Wyjątek stanowiły przypadki, gdy kogoś brakło.

Przerwa obiadowa następowała w fabryce od godz. 13 do 13,30. W tym czasie posiłki spożywali Niemcy, oraz pracownicy innych narodowości, zatrudnieni na wolnej stopie. Posiłki te były przywożo-

ne z centralnej kuchni w kotłach-termosach i na gorąco spożywane. Jak zauważyłem, odrębne zupy otrzymywali Niemcy, Włosi i pozostałe narodowości /termosy były oznaczane odpowiednim kolorem farby na zewnątrz, co wskazywało, dla kogo są przeznaczone/.

Niestety więźniowie na tego rodzaju uczty mogli się tylko z daleka patrzeć, a w korzystnym przypadku, gdzieś w zakamarkach składowisk fabrycznych wyczyścić z resztek zupy pusty zbiornik, ale to się trafiało tylko szczęściarzom. Większość więźniów, oszczędzając własne siły, bez obiadu lokowała się, gdzie się dało w zakątkach miejsc pracy, aby zasnąć na czas przerwy. Osobiście z najbliższymi kolegami kładłem się pod nawiewnikami ogrzewczymi na betonie i z miejsca zasypiałem. Przy tym na zmianę czuwaliśmy, aby na sygnał syreny obudzić się w porę na zbiórkę, gdyż wiedzieliśmy, że spóźnienie grozi publiczną chłostą. Nieraz byłem świadkiem takiego katowania więźnia za niedokładną produkcję, przekraczającą tolerancję błędu obróbki metalu, montażu itp. oraz za łamanie dyscypliny pracy, za nie zdjęcie czapki przed przechodzącym SS-manem, nie podporządkowanie się poleceniom kapo względnie doniesienia przez nadzór techniczny fabryki o złym wykonywaniu pracy. Wymierzenie kary polegało na tym, że na ławkę układało więźnia dwóch funkcyjnych i siadało mu na rękach, a innych dwóch wymierzało pejcem 40 do 50 uderzeń w pośladki, czy w plecy. Gdy katowany omdlał z bólu polewano go zimną wodą i dalej stosowano bicie. Obózowi funkcyjni, kapo i inni, częściej wymierzali doraźne kary na miejscu we własnym zakresie. Nawet za minimalne przekroczenia względnie za nieuwagę stosowano kary o różnym rozmiarze. Jako przykład tego niech posłuży fakt, jaki mnie spotkał. W 1945 r. zatrudniony byłem w hali Nr 5 na montażu głównym. Podczas zbiórki porannej na swoim dziale kapo Niemiec zauważył, że stojąc w drugim szeregu, na jego rozkaz "achtung" z opóźnieniem przybrałem postawę na "bacność". Otrzymałem za to silny cios butem poniżej żołądka, po którym, zemdlony, usunąłem się na beton. Koledzy, ratując, przenieśli mnie w bezpieczne miejsce i z trudem po zakończeniu pracy odprowadzili do obozu. Skutki tego kopnięcia były okropne. Zsiniąły okolice brzucha, pozostał silny ból, uniemożliwiający chodzenie. W przyszłości musiałem się jeszcze bardziej wystrzeżać, aby nie podpaść władzy obozowej.

Bicie więźniów nie było rzeczą przypadku. Utańło się w obozie takie powiedzenie: "Jak będziesz bity w poniedziałek, to spotykać cię będzie to samo w każdy dzień całego tygodnia". Bicie więźniów po twarzy lub szpicrutą przez funkcyjnych należało w zasadzie do codziennego porządku.

Powrót z fabryki do obozu odbywał się w takim samym układzie i dyscyplinie co droga z obozu do fabryki. Następowoło to o godz. 19 wieczorem. Czas pracy wynosił więc 12 godzin + 2 godz. marszu, czyli razem 14 godzin. Powracające kolumny maszerowały piątkami, licząc każda po 100 więźniów. Maszerujący mieli obowiązek trzymania się pod ramiona dla udaremnienia ewentualnej ucieczki. Próba ucieczki jednego więźnia powodowała rozstrzelanie pozostałej czwórki. Po stronie zewnętrznej drutów, co 10 kroków, szli uzbrojeni w broń maszynową SS-mani z tresowanymi psami. Od strony wewnętrznej drutów szedł kordon policjantów obozowych, rekrutujących się spośród więźniów niemieckich. Nosili oni na głowach białe nakrycia, a w rękach trzymali drewniane pałki na skórzanym uchwycie. Przestrzegali porządku maszerujących kolumn i nawoływali krzykiem do równania szeregów, stosując najczęściej pałkę.

Po powrocie do obozu następowało znów liczenie powracających z fabryki, musztra, czołganie się w błotnistym żużlu placu apelowego, czyli "gimnastyka".

4. Życie w obozie i na bloku

Po apelu wieczornym chorzy mogli uzyskać zezwolenie blokowego na pójście na wizytę lekarską na "rewir". Najczęściej szli do lekarza chorzy z wysoką gorączką z różnych przyczyn, ale rewir to oddzielna relacja.

Obowiązkiem wieczornym była kąpiel. Przed barakiem, w którym znajdowały się natryski, bez względu na temperaturę dnia /zimnawo/ trzeba było zdjąć odzież, ułożyć ją w kostkę i przejść do łaźni, w oddzielnym baraku, gdzie każdy otrzymywał na rękę odrobinę sproszkowanego "mydła" koloru szarego piasku. Następnie, przechodząc pod prysznic, polewany był silnym strumieniem wody na przemian gorącej i zimnej. Cała ta "kąpiel" trwała ok. 5 min., po czym przydzielony specjalny więzień funkcyjny wypędzał opieszających za pomocą pałki gumowej lub drewnianej, aby zrobić miejsce dla następnych. W tych warunkach, bez ręcznika, trzeba było się szybko ubrać i udać na blok. Tam blokowy, po sprawdzeniu czystości osobistej i odzieży, czytelności numerów więźnia na bluzie i spodniach, wydawał przy pomocy sztubowego miskę zupy /norma litr/. Praktycznie chochła zawsze miała prawo się zakołysać w ręku sztubowego i w tym przypadku otrzymywało się ok. 3/4 litra. Na ten obiad, bo kolacji nigdy nie było, otrzymywaliśmy przeważnie brukwiankę lub inną lurę. Był to podstawowy i ostatni posiłek każdego dnia.

Mieszkałem na 9 bloku, którego blokowym był Karol Hołubiak z Warszawy, 19-letni chłopak z Grójeckiej, przebywający w więzieniach i obozach ok. 4 lat. Miał on nie lada praktykę w wykonywaniu swojej poważnej funkcji wychowawczej. Nie znając go wcale, starałem się nie podpaść i nie zawrzeć bliższej znajomości z jego pięścią lub pałką. Widząc, że życie obozowe nakazuje bardzo intensywnie myśleć, patrzeć i we właściwy sposób reagować na otaczające zjawiska, postanowiłem rezygnować z codziennej kąpieli po pracy w łaźni i w zamian myć się w umywalniach waszraumu. Bałem się, że kilka takich natrysków to zapalenie płuc i koniec. Czyniłem to więc w ten sposób, że myłem w zimnej wodzie głowę, szyję, uszy i jedną nogę, czyli to, co sprawdzał blokowy przy wydawaniu zupy. Jakie było moje zdziwienie, kiedy blokowy kazał mi obnażyć nogę nie tę, którą w tym celu umyłem, mimo mycia nóg na przemian. Po prostu wpadłem. Otrzymałem kilka gum po plecach oraz polecenie dokładnego umycia się. Wypełniając polecenie blokowego, otrzymałem w drodze wyjątku należną porcję zupy tylko dlatego, że byłem Polakiem tak jak on. W innym przypadku musiałbym głodować do następnego dnia. Po kilku miesiącach pobytu w obozach więźniowie opadali całkowicie z sił. Brak paczek żywnościowych i listów, których już nie przysyłały rodziny, szczególnie po upadku powstania warszawskiego i wyzwoleniu spod okupacji terenów Polski na linii Narwi i Wisły. Nie nadchodziły one również i z pozostałych terenów, już wyzwolonych. Ciężka ponad siły praca, głód, choroby powodowały liczne zgony.

Blok 9, jak i pozostałe bloki, był zbudowany z desek i ustawiony na betonowych podmurówkach. Wnętrze jego składało się z trzech części: środkowa, jadalnia, wyposażona w stoły drewniane i stołki, a nadto w żelazny piec węglowy. Pomieszczenie to służyło za sypialnię dla blokowego i było miejscem, do którego nie wolno było się zbliżać ani tam przebywać. Posiłki były wydawane właśnie w jadalni, lecz spożywać je trzeba było w pozostałych dwóch częściach baraku, na stojąco. Brak łyżek zmuszał do wykonywania ich

we własnym zakresie na terenie fabryki. Robiło się tam igły, brzytwy, noże i inne przedmioty. Nitki do szycia wydostawało się z węży gumowych.

Po obiedzie do czasu ciszy nocnej blokowy zarządzał różne uciążliwe prace: czyszczenie blatów stołów, stołków i ich części drewnianych tak, by wyglądały na wysoki połysk, mimo że nie były używane; czyszczenie drewnianych części prycz, kojek, zamiatanie i mycie podłóg, klozetów, porządki wokół baraku, wreszcie ostateczna funkcja - likwidowanie insektów we własnej odzieży. Pryczekojki na bloku były dwu- i trzypiętrowe, z papierowymi siennikami, których grubość /wraz ze "słomą"/ nie przekraczała 3 cm. Wszystko to bez pościeli, do przykrycia były cienkie i zużyte koce. Baraki były nie ogrzewane. Podczas zimy ściany od wewnątrz pokryte były grubą warstwą szronu, powstałego z naszych oddechów. Na jednej kojce spało po dwóch, a w niedzielę po 5 więźniów przypadało na kojekę. W tych warunkach można było się tam zmieścić, leżąc bokiem lub na przemian - nogi do głów.

Podczas ciszy nocnej, od godz. 22 do 5 rano, dość często zarządzano alarmy lotnicze próbne i prawdziwe. Przy takim alarmie wszyscy musieli w ciągu kilku minut opuścić blok i chować się w rowach przeciwlotniczych przed barakiem, przy czym nie było mowy o ubieraniu się. Każdy, jak mógł, łapał swoje rzeczy i biegiem udawał się do schoru.

Głód sprawiał, że jadło się wszystko co tylko dało się zjeść. Pospolite zupy obozowe ze "szpinaku", którym były pokrzywy lub gotowana trawa, również nie były wykluczone z konsumpcji. Bywali jednak tacy szczęśliwcy, którzy czasami spożywali czosnek lub cebulę, przesyłaną w paczkach od rodzin lub przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Na moim bloku jedna z parterowych kojek w środkowym rzędzie była zasłaniana od czasu do czasu kocami, tworzącymi jakby parawan. Byłem pewny, że w tym łóżku wypoczywa jakiś zmęczony pracą kolega więzień. Jakie było moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałem, że w tym miejscu spotykają się homoseksualiści, zapraszając do siebie tzw. "pipli", małoletnich chłopców. Działo się to wszystko za wiedzą blokowego, który tego rodzaju sprawy tolerował. Robili to przeważnie wysokiej rangi funkcyjni narodowości niemieckiej, zwani prominentami.

Na bloku 9 znajdowali się między innymi następujący więźniowie: Władysław Foryś, inż. Antoni Okniński, Roman Kucharczyk, dwaj moi bracia, Anatoliusz Brodzki i Ryszard Janczewski /brat przyrodni/, redaktor Michał Bonerko, Jak Rogoziński, Kazimierz Wielograf - wszyscy z Warszawy, a nadto Stanisław Swoboda, Tadeusz Paderewski, Leon Dziubiński, Ziółko ze Śląska, Tadeusz Krawczyk.

Z nimi, a także z innymi więźniami zamieszkującymi mój blok nawiązywałem rozmowy polityczne, dotyczące klęski Hitlera na froncie wschodnim i zachodnim. Ponieważ żadna prasa nie dochodziła do naszych rąk, pozostała nam wzajemna informacja. Najlepsze wiadomości z frontu i o sytuacji w Niemczech otrzymywałem od niemieckich kolegów, którzy sporadycznie uzyskiwali aktualną prasę hitlerowską. Często rozmawiałem ze starszym wiekiem Niemcem - antyfaszystą, przebywającym w więzieniach i obozach od 12 już lat. Był on w rozumieniu prawa III Rzeszy niebezpiecznym dla społeczeństwa i dlatego otrzymał wyrok całkowitej izolacji do czasu zakończenia wojny. Nosił ze sobą dużej wielkości mapę, wyciętą z gazety i rysował na niej czerwoną kredką linię frontu niemieckiego wg aktualnego stanu działań wojennych, przy czym cieszył się z istniejącej

sytuacji podobnie jak my. Często powtarzał, że kres panowania Hitlera jest już bliski i że możemy liczyć na szybkie wydostanie się na wolność. Oczywiście tego rodzaju pocieszające wiadomości przekazywałem najbliższym kolegom na bloki i na terenie fabryki. Miało to ogromne znaczenie dla podtrzymania ducha i wiary w zwycięstwo oraz w przetrwanie tej makabry. Załamanie psychiczne zawsze przyspieszało drogę do krematorium, a niestety miało to miejsce coraz częściej.

Zima w obozie dawała się bardzo we znaki i część więźniów wykonywała z worków papierowych po cemencie okrycia pod marynarki. Ja sam sporządziłem sobie takie okrycie z worka jutowego. Była to skuteczna ochrona przed wiatrem i zimnem, zwłaszcza podczas wielogodzinnego wyczekiwania na placu apelowym, kiedy to na ubraniach i częściach twarzy powstawał biały szron. Władze obozowe szybko zorientowały się, że więźniowie jakoś "utyli", zarządziło więc na placu apelowym zbiórkę i szperę na blokach. Wydano rozkaz zdjęcia ubrania i w taki sposób zostaliśmy pozbawieni naszych ocieplających uzupełnień odzieży. Powtórzenie się tego rodzaju wykroczenia zagrażało represjami karnymi.

Według planów komendantury obozów w Gross-Rosen, obóz Fünfteichen miał być poważnie rozbudowany i pomieścić 12 000 więźniów. W tym celu na początku 1944 r. rozpoczęła się budowa dużych, o dwu kondygnacjach, bloków z pustaków cementowych. Pod nadzorem cywilnej firmy niemieckiej zostali zatrudnieni więźniowie przy pracach ziemnych, instalacji wod. kan. oraz murarskich. Będąc zatrudniony na jednym z odcinków budowy, w pierwszym okresie pobytu w Fünfteichen zetknąłem się z następującym przypadkiem: Podczas południowego liczenia więźniów brygady budowlanej nowego obozu stwierdzono brak więźnia. Poszukiwania w pierwszym okresie nie dawały rezultatu. Byliśmy pewni, że nastąpiła ucieczka. Aż wreszcie po ok. dwóch godzinach sprowadzono na plac apelowy chłopca mającego ok. 17 lat, narodowości niemieckiej. Następnie przemówił komendant obozu, wyższy oficer SS. Sens tego przemówienia był mniej więcej taki: "Więźniowie znajdują się pod szczególną opieką administracji więźniarskiej, a w szczególności komendy obozu i dowództwa SS. Stworzone zostały im właściwe warunki do bytowania i zapewniono im pracę dla zwycięstwa Wielkiej Rzeszy. Łamanie regulaminu obozowego jest niedopuszczalne, a każde jego przekroczenie będzie przykładnie i surowo ukarane, aż do kary śmierci włącznie. Ten oto więzień próbował ucieczki i zgodnie z regulaminem powinien być rozstrzelany. Władza Niemiecka jednak stosuje również środki wychowawcze i, biorąc pod uwagę młody wiek więźnia oraz to, że przebywa on w obozie zaledwie od kilku dni - wydaje się decyzję ukarania go chłostą 50 pejczy. Jego niemiecka narodowość nie zwalnia go od przestrzegania regulaminu więźniów, wręcz przeciwnie, powinien świecić przykładem innym, a wymierzona kara jest bardziej surowa". Następnie komendant przestrzegał wszystkich przed podobnymi wypadkami, gdyż nie będzie stosowana żadna taryfa ulgowa, żadne ulaskawienia, tylko kara śmierci. Więzień ponadto zostanie skierowany do pracy w karnej kompanii i oznaczony czerwonymi naszykami w postaci koła na bluzie i plecach, oraz wygolona mu zostanie na głowie droga sztrajta wzdłuż uszu, tworząc krzyż. To będzie widoczny znak, że próbował ucieczki z obozu.

Następnie przystąpiono do wykonania kary. Bicie po obnażonych plecach i biodrach i gdzie się dało, przypominało młóckę zboża cepami. Tego rodzaju katowanie wprowadzało skazanego w stan omdlenia. Jego krzyk lub wycie powodowało często, że komendant podwyż-

szął ilość batów. Nieprzytomnego skazańca zaciągnięto do pobliskiego baraku, przeznaczonego dla więźniów karnej kompanii. Oto była "lekcja wychowawcza" i objaw sadyzmu naszych opiekunów spod znaku trupiej główki.

5. "Rewir"

Szpital obozowy, tzw. "rewir", położony był w Fünfteichen na terenie zasadniczego obozu w wydzielonym miejscu, ogrodzonym parkanem z drutu kolczastego. Na tym terenie były 4 baraki, przeznaczone dla chorych, a dwa mieściły kostnicę, magazyn odzieży więziennej i umywalnię.

Sam odwiedziłem rewir kilkakrotnie, skarżąc się lekarzom na stan podgorączkowy, spowodowany przeziębieniem i wyczerpaniem organizmu. Przy tych wizytach otrzymałem jedną tabletkę bliżej nie znanego specyfiku o nie znanej mi nazwie i musiałem wynosić się na blok. Przy innej okazji zgłosiłem się do dentysty, ponieważ krwawiły mi silnie dziąsła i wszystkie zęby poczęły się ruszać tak poważnie, że groziły wypadnięciem. Przy tym silny ból w jamie ustnej całkowicie utrudniał jedzenie chleba. Porada u dentysty wyglądała mniej więcej tak: po zajęciu miejsca na stołku w rzekomym gabinecie lekarskim, lekarz spojrział w jamę ustną i powiedział: "Co ty, bandyto, przyszedłeś, żebym cię wyleczył - to w warunkach obozowych nie jest możliwe. Twoja choroba to szkorbut. Awitaminoza zrujnuje ci cały organizm. Musisz jeść dużo cebuli lub czosnku, którego nie ma w obozie. Teraz zrób to, co w warunkach obozowych jest możliwe". W kącie na podłodze ujrzałem butelkę z ciemnym płynem oraz kubeł z kapustą. Czekam, co będzie dalej. Lekarz wyciągnął drut i owinał go watą, maczając w płynie. Jak się okazało, w butelce była jodyna. Wypędzłował mi dziąsła i wszystkie krwawiące miejsca jamy ustnej. Dał mi na rękę garstkę kapusty i kazał mi się wynosić na blok, naznaczając wizytę na dzień następny. Po tym pędzłowaniu lały mi się łzy z bólu, ale lepiej mi się zrobiło po natychmiastowym spożyciu kapusty. Ponieważ bardzo mi smakowała, postanowiłem powtórzyć tę kurację jeszcze tego samego dnia. Stałem w kolejce do lekarza jako ostatni. Lekarz z miejsca rozpoznał mnie po śladach jodyny na ustach i kijem przepędził grożąc, że na przyszłość zanotuje mój numer dla wymierzenia kary przez blokowego. I tak skończyła się moja kuracja, ponieważ następnego dnia lekarz już nie miał kapusty, odbyło się tylko pędzłowanie jodyną. Dależy mój kontakt z rewirem w późniejszym okresie był już bardziej konkretny. Dzięki niemu uratowany zostałem od niechybnej śmierci, ale o tym szczegółowiej opowiem dalej.

Zwiększająca się ilość chorych i ograniczona ilość miejsc na rewirze sprawiły, że chorzy byli odsyłani na blok bez jakiegokolwiek pomocy. W tym wszystkim jednak miałem trochę szczęścia, gdyż termometr wskazywał, że mam ponad 39^o temperatury. Była to podstawa do przyjęcia na rewir, a dodatkowym argumentem sugerowana przez lekarzy możliwość zachorowania na tyfus, przy którym trzeba było szybko izolować chorego od zdrowych więźniów.

Przyjęcie na rewir było bardzo uproszczone. Wystawiano kartę choroby i kartę ciepłoty, która przytwierdzana była przy kojках. Kazano się obnażyć z odzieży i iść do umywalni umyć się pod nadzorem sanitariusza, który zwracał uwagę na umycie głowy i całego ciała, co było wykonywane pod lodowatą wodą bez stosowania mydła i ręcznika. Tak jak stałem, położyłem się na parterowej wolnej kojce w środkowej części baraku chorób wewnętrznych. Spanie w ni-

czym nie odbiegało od spania na bloku. Spłaszczony na grubość palca siennik, jeden koc bez bielizny osobistej i pościelowej. Rano i wieczorem sanitariusz zmoczoną w zimnej wodzie szmatą przecierał wszystkim chorym klatkę piersiową i kopiowym ołówkiem malował numer więźnia. To znakowanie miało uchronić administrację obozu przed zmianą numerów ludzi zmarłych na żyjących, co wiązało się z osobami posiadającymi wyroki śmierci sądów niemieckich lub wydziałów politycznych. Mimo to każdy więzień miał obowiązek zawieszenia na szyi "tabliczki śmierci", blachy, na której wybity był ewidencyjny numer obozowy. W Gross-Rosen nie stosowano tatuażu na ramieniu, jak to miało miejsce np. w Auschwitz.

Pierwsza noc przebyta w szpitalu była dla każdego koszmarem. Przybywając z wysoką gorączką, pomyślałem sobie, że teraz wreszcie naprawdę odpocznę i wyśpię się. Ulokowany na parterowej койce, przed zmierzchem rozmawiałem z najbliższymi chorymi, których bliżej nie znałem. Jakie było moje zdziwienie, kiedy po zbudzeniu się następnego ranka ujrzałem wokół mnie nieboszczyków. Wszyscy moi sąsiedzi w ciągu nocy zmarli. Pomyślałem sobie, kiedy przyjdzie kolej na mnie, aby ujrzeć ten nieznaną "lepszy" świat, bez męczarni i tortur.

Po tych rozważaniach zasnąłem. Obudził mnie sztabowy, wręczając miskę wodnistej melki. Po śniadaniu zapowiedziano inspekcję lekarzy SS. Przy wejściu naszych władców na teren bloku każdy chory miał obowiązek unieść się na komendę "achtung!" do pozycji półleżącej. Oczywiście martwi nie podnosili się i noszowi w tym przypadku mieli obowiązek wynoszenia zwłok do kostnicy. Przy takiej "inspekcji" sprawdzano przede wszystkim wysokość temperatury ciała chorych. Jeśli malała do 37°, wydawano polecenie zwolnienia na blok do pracy. Tych przypadków było niewiele, bo w większości były to ciężkie choroby obozowe, jak flegmona, biegunka, jaglica i inne.

Przed pójściem na rewir wiedziałem, że mój brat, Tadeusz, już tam przebywa. Nie było mowy o jakimś odwiedzeniu chorych na rewirze. Zastanawiałem się, jaką drogą dać znać bratu, że też tu jestem. Jakie było moje zdziwienie, kiedy w końcu sali w bloku, w którym przebywałem, ujrzałem brata. Był względnie wypoczęty, temperatura ciała spadła i wg tego kwalifikował się do wypisania. W tych warunkach, pod nieobecność funkcyjnych na sali, przyszedł do mnie. Ze słów jego wynikało, że nawiązał kontakt z kolegą z Krakowa, któremu blokowy z terenu obozu codziennie przemyca dodatkowe porcje zupy, chleba i margaryny. Odbywa się to drogą przez druty rewiru. Otrzymaliśmy od niego trochę nadprogramowego jedzenia.

Środki lecznicze, jakie stosowali lekarze były bardzo ograniczone, można powiedzieć - żadne. Ja byłem leczony w ten sposób, że otrzymywałem jedynie pastylkę nieznanego żółtego specyfiku, prawdopodobnie na spędzenie gorączki. I tak płynęły dni. Brat mój po tygodniu został uznany za zdrowego i poszedł na blok do pracy. Po dwóch tygodniach i ja musiałem wrócić do normalnych zajęć obozowych.

Wyżywienie dla zatrudnionych w fabryce było z dodatkiem dla pracujących, o czym już wspominałem, natomiast jedzenie szpitalne było okrojone o 1/3 racji dla pracujących. Zupy były bardzo wodniste, podobne do mlecznych, ale tylko w kolorze, i słodkie, na sacharynie.

Po moim przyjsciu na blok, blokowy gospodarz Hołubiak, zapytał: "No i co, bandyto, już jesteś zdrow - to weź się do roboty".

Przydzielili mi wtedy lekką pracę - czyszczenie szklistym papierem stołów w jadalni. Kontakty współwięźniów z innych bloków były bardzo utrudnione i ograniczone. Spotkania takie, zresztą nieliczne, odbywały się układkiem w umywalniach i latrynach w chwilach wolnych od zajęć na blokach.

Dzięki pamięciowej pomocy kolegów wymienię tu niektórych blokowych Polaków, sprawujących swe funkcje w 1944 r. do stycznia 1945 r.: Blok Nr 1 - Tadeusz /brak nazwiska/, Nr 2 - obywatel narodowości czeskiej, Nr 6 - Jan Nowakowski, Nr 9 - Karol Hołubiak, Nr 10 - Tadeusz Tański, Nr 24 - Czesław Dębski.

Z licznych więźniów politycznych Polaków, znajdujących się w Fünfteichen, między innymi znajdowali się: inż. Stanisław Frankiewicz /blok 10/, Tadeusz Krawczyk z Warszawy, Zygmunt Świeca i jego brat Świeca, Bogdan Tupikowski, Michał Augustyniak, Bogdan Wyrobiec, Tadeusz Łapiński z Łap, Feliks Kidawa z Krakowa, Jerzy Przybyłek z Koluszek, Edward Traczyk z Piaseczna, Jerzy Zwierzchowski, Piotr Długosz, inż. Antoni Zboński, Marian Tyminiński, Aleksander Beker z Warszawy /blok 1/, Stefan Ryś z Otwocka, Zygmunt Oruń.

6. Praca w Fabryce Kruppa "Bertha Werke"

Praca w fabryce, jak już wspomniałem, odbywała się na dwie zmiany: dzienna od 7 do 19 i nocna od 19 do 7 rano. Początek i koniec pracy następował przy sygnale syreny fabrycznej i liczeniu więźniów przez SS-manów na głównej drodze komunikacyjnej wewnątrz hali fabrycznej. Hala miała wymiary około 400 x 250 m, wzdłuż hali mieścił się mały skład pociągu towarowego, 10 wagonów i lokomotywa.

Po przybyciu do fabryki otrzymałem przydział, jako nowicjusz, do pracy w hali nr 5, w której odbywał się montaż połowych armat. Grupa nasza liczyła ok. 50 więźniów i została skierowana na przeszkolenie do szkoły fabrycznej. Było to niewielkie miejsce wydzielone w środku hali fabrycznej, ogrodzone kilkumetrową siatką drucianą. Stały tam frezarki, tokarki, szlifierki, wiertarki oraz stoły kreślarskie wyposażone w imadła, pilniki i inne narzędzia. Przez ponad tydzień byliśmy tam pod stałą opieką kapo, który ustawiał nas w dwuszeregu, wydając co jakiś czas rozkaz, aby stać lub siedzieć na zimnym betonie. Przy maszynach i obrabiarkach pracowali więźniowie, obrabiając części metalowe. Przypuszczam, że był to rodzaj długotrwałego szkolenia, gdyż kilku więźniów, przydzielonych do maszyny, dokonywało powtarzające się operacje pod okiem fachowca, też więźnia. Początkowo sądziłem, że i nas przeszkolą, kiedy zostaną przeszkoleni nasi poprzednicy. W rzeczywistości stało się inaczej. Dwutygodniowy pobyt w tej drucianej klatce, jak w ogrodzie zoologicznym, stania tam lub siedzenia w bezruchu przez 12 godzin nie miał żadnego sensu. Opasły, młody, o czerwonej twarzy kapo Niemiec, z nudów wyżywał się nad nami. Usłyszawszy gdzieś za plecami rozmowę więźniów, szybko karał winnych biciem po plecach, twarzy lub gdzie się dało swoją gumową pałką, której nie wypuszczał z ręki. Załatwianie potrzeb fizjologicznych mogło się odbywać pojedynczo, w pomieszczeniu odległym o 150 m, zlokalizowanym przy bocznej ścianie hali. W tym celu kapo zugianga udającego się do tego przybytku oddawał pod opiekę "starego" więźnia. Charakterystycznym przykładem stosowanego sadyzmu przez kapo był przydział temu samemu więźniowi czyszczenia codziennie tej samej tokarni, która stała bez ruchu. Trwało to przez całe 12 godzin

bez najmniejszej przerwy. Jeśli kapo zauważył, że czyszczący maszynę przerwał swoją pracę choć na chwilę lub rozmawiał z sąsiadem natychmiast wymierzał mu rązy.

Po okresie takiego "szkolenia" nastąpiła decyzja rozmieszczenia szkolonych więźniów do właściwej pracy. Bez spodziewanego faktycznego szkolenia zawodowego pewnego dnia ujrzelśmy przedstawicieli niemieckiego dozoru fabryki. Jak się okazało, byli to majstrowie poszczególnych działów produkcyjnych: spawalni, nitowni, tokarni, frezarek, narzędziowni i montażu głównego. Rozpoczęły się rozmowy, z których zorientowałem się, o co chodzi. Trzeba było szybko pomyśleć, jak trafić do działu produkcji, który byłby najbardziej odpowiedni, a z drugiej strony najmniej szkodliwy dla siły i zdrowia. Następnie odbył się egzamin praktyczny, na który składało się: ręczne piłowanie części metalowych pilnikiem, odczytywanie wymiarów na suwmiarce, dokonywanych na wyrobach fabrycznych. Ponieważ majstrowie już wcześniej wiedzieli, że jesteśmy "fachowcami" od metalu, zaczęli wybierać kandydatów do swoich działów. Wyglądało to jak kupno niewolników na targu. W międzyczasie przeprowadziłem rozmowę z jednym z majstrów montażu głównego, który zgodził się wziąć mnie do pracy. Następnie uprosiłem majstra, żeby przyjął do pracy mojego brata Tolka. Drugi brat Ryszard, mimo moich zabiegów, nie trafił do naszego działu, lecz do brygady spawaczy elektrycznych. W ten sposób rozdysponowano wszystkich więźniów, kierując się raczej własną oceną wizualną, a nie ich fachowością. Decydował przypadek, wiek i kondycja fizyczna, dająca nadzieję na dłuższą eksploatację człowieka.

Następnego dnia otrzymałem swoje stanowisko pracy, która polegała na szeregu czynnościach przy montażu zasadniczej części podwozia armaty. Praca ta wymagała obróbki części metalowych, szlifowania ich przy użyciu szlifierki i przecinaków pneumatycznych, a często użycia zwykłego 5 kg. młota dla spasowania niektórych grubszych elementów. W wielu przypadkach niezbędne było korzystanie z pomocy spawarki elektrycznej dla nadlania stopu i szlifowanie niektórych części.

Po czterech dniach pracy - nauki majster nakazał nowym pracować samodzielnie. Szło nam to niemrawo. Zdawaliśmy sobie sprawę, dla kogo i dla jakich celów pracujemy pod przymusem, robiliśmy więc wszystko, aby pracę opóźnić i jak się dało sabotować. Majster, widząc naszą małą wydajność, wezwał kaposzyfa i oświadczył, że nie wykonujemy przewidzianych norm dla więźniów. Rozmowa kapo z nami była bardzo krótka. Zapowiedział, że przy powtórzeniu się takiego meldunku majstra zawiadomione o tym zostaną władze SS, a winni poniosą karę, gdyż fabryka, w której pracujemy, jest zakładem o produkcji wojennej. To pierwsze poważne ostrzeżenie pod naszym adresem przejęło nas, gdyż wiedzieliśmy, co z nami w takich przypadkach mogą zrobić. W następnych dniach staraliśmy się więc utrzymać pozory dobrych pracowników, wyrabiając normę minimum i pomagając przy tym sobie wzajemnie.

W pracy tej zacząłem szukać sposobów i metod dla oszczędzania własnych sił, nie licząc się wcale z jakością wykonywanej pracy. Skutki mojej "usprawnionej" pracy, a właściwie sabotażu nie dały długo na siebie czekać. Na pewno części mojego montażu wpływały na krótką użyteczność wyrobów i rozpadanie się armat, a to właśnie był mój cel i moich kolegów.

Na dziale montażu zatrudniony był Antoni Sobociński, z którym niejednokrotnie przeprowadzałem rozmowy na temat metod stosowania sabotażu. Podał mi on wiadomość, że Niemcy nie prowadzą ścisłej

ewidencji więźniów wykonujących pracę określonych elementów, stąd też po odbiorze pracy przez kontrolę techniczną trudno jest ustalić, kto odpowiada za braki. Majstrowie natomiast rozliczali się z pracy więźniów ogólnie, rejestrując codziennie ich numery obozowe.

Wypoczynku podczas pracy w zasadzie nie było. Miały miejsce ciągle zbiórki na środku hali, sprawdzanie przez SS-manów stanu liczebnego więźniów i komenda pozwalająca na rozejście się do stanowisk pracy.

Pod koniec listopada i w późniejszym okresie 1944 r. następowały opóźnienia dostaw części do montażu głównego i innych działów. Fabryki niemieckie, zlokalizowane na terenie Prus Wschodnich, były w tym czasie objęte bombardowaniem przez Armię Radziecką. Z tych przyczyn następowały częste przerwy produkcyjne w naszej fabryce. W takich sytuacjach władze niemieckie przemieszczały więźniów do różnych działów, tam gdzie mogła odbywać się produkcja, np. w nitowni, przy gwintowaniu śrób, transporcie wewnętrznym itp.

Do chwil tzw. wypoczynku można było zaliczyć przebywanie w ubikacji. Czas przejścia tam i z powrotem zaliczany był do wypoczynku, nie licząc zasadniczego pobytu w ubikacji.

Przed wejściem do ubikacji stał funkcyjny zaopatrzonej w pejcz. "Szajskapo", jak go żartobliwie nazywaliśmy, kontrolował on tzw. "szajsmarki", okrągłe metalowe blaszki, na których uwidoczniony był nr hali fabrycznej i nazwa szyfu. Blaszki takie, będące jednocześnie przepustką do ubikacji, znajdowały się pod ścisłą opieką i ewidencją szrajbera szyfu. Były one w dwóch kolorach: zielonym - uprawniającym do wejścia do pisuaru, i czerwonym - uprawniającym do zajęcia sedesu. Takich kolorowych marek w naszym dziale na 50 wuźniów wydawano 5 sztuk. Można było je otrzymać od szrajbera, który prowadził ścisłą ewidencję /nr więźnia, nr marki, godzina pobrania i godzina oraz minuta zwrotu/. W ten sposób szajskapo mógł odpowiednio regulować ruchem w nadzorowanej ubikacji. Spotkanie więźnia z zieloną marką na sedesie upoważniało kapo do stosowania kary pejczem na miejscu, co w zasadzie działo się na porządku dziennym.

Okoliczności sprawiły, że na moim dziale szrajberem był mój kolega z okresu okupacji, z którym pracowałem jako konduktor warszawskich tramwajów. Był to Ryszard Zawadzki. Tego rodzaju znajomość pozwoliła mi na szukanie pomocy przy uzyskaniu szajsmarki, która nie byłaby kontrolowana przez nikogo i z której będzie można korzystać w każdej chwili. Zawadzki udostępnił mi taką markę, oczywiście czerwoną, z której korzystali w razie potrzeby tylko najbliżsi i wtajemniczeni.

Wśród załogi "starych" więźniów naszego działu, jak mi się wydawało bez większego wysiłku pracowali Rosjanie. Wypływało to po prostu z tego, że przed aresztowaniem pracowali oni w fabrykach i byli przyzwyczajeni do warunków pracy, z którą się tu zetknęli. "Wydajna" praca była raz w tygodniu nagradzana przez majstra przyznawaniem "premieszajnu" o umownej wartości jednej marki niemieckiej. Za "dobre" wytki pracy również kilku kolegów otrzymało od 2 do 3 marek tygodniowo. Oczywiście grupa "nowych pracowników" o premii nie mogła nawet marzyć, raczej słyszeli tylko ciągle uwagi i nagany za złą pracę oraz groźby konsekwencji. Pomyślałem, że nigdy nie doczekam się takiej premii i postanowiłem działać od strony psychologicznej. Na kwadrans przed zakończeniem pracy, krojąc wodą beton, zabrałem się do zamykania całego działu. Ruszyło to sumienie starszego wiekiem majstra. Poklepał mnie po ramieniu mówiąc, że za to dostanę "premieszain", bo to jest higiena w

fabryce. I w ten sposób w najbliższą sobotę otrzymałem pierwsze i ostatnie dwie marki, czyli majątek nielada. Kantyna obozowa za jedną markę wydawała: 10 papierosów "Juno" i miskę zupy względnie 10 deko zepsutej pasty rybnej firmy "Maggi". Papierosy można było wymienić na inne artykuły spożywcze: margarynę, chleb, a nawet na części garderoby. Zupę zjadało się natychmiast, a bardzo słona pasta służyła do smarowania chleba i tylko zwiększała pragnienie.

7. Ewakuacja i wyzwolenie

Nieoficjalne wiadomości, jakie docierały i krążyły wśród więźniów, wskazywały w drugiej połowie stycznia 1945 r. na zbliżający się front atakującej Armii Radzieckiej i u jej boku Armii Polskiej od Wschodu oraz armii alianckich od Zachodu. Potwierdzał to istniejący chaos organizacyjny wśród zarządu i majstrów fabryki. Nierytmiczne dostawy części do montażu z innych terenów Niemiec powodowały przerwy produkcyjne, przestoje maszyn i brak możliwości zatrudniania więźniów i licznych obcokrajowców, pracujących z wolnej stopy.

Wcześniej jeszcze, bo na początku stycznia 1945 r., zapowiedziano bardzo ważne wystąpienie komendanta obozu do wszystkich więźniów i funkcyjnych. Przeżywaliśmy tę zapowiedź z dużym niepokojem nie wiedząc, co może nas spotkać. Aż wreszcie chwila ta nastąpiła. Po powrocie z fabryki, ustawieni na placu apelowym, oświetlonym tego wieczora wszystkimi reflektorami ze strażnic i na samym placu, po sprawdzeniu stanu więźniów przez raporfirerów, byliśmy przekonani, że nastąpiła jakaś ucieczka, że uciekinierzy zostali schwytani i czekamy na publiczną egzekucję. Jakie było nasze zdziwienie, kiedy usłyszeliśmy w różnych językach tłumaczenie słów komendanta obozu. Brzmiały one w naszych uszach jak dzwon wieszczący wolność: "Więżniowie, jesteście pod dobrą opieką SS i kierownictwa obozu. Macie zagwarantowane wszystko, co więźniom można stworzyć w warunkach wojny. Zbliży się koniec wojny, której zwycięstwo należeć będzie do Hitlera i Trzeciej Rzeszy. Koniec wojny to dla was koniec pobytu w obozie i powrót do domu do waszych rodzin. Jednak władze obozowe przestrzegają, że teraz właśnie dyscyplina musi być szczególnie przestrzegana przez więźniów, a wszystkie polecenia władz obozowych i samorządu więźniarskiego całkowicie respektowane. Brak posłuszeństwa będzie surowo karany aż do kary śmierci łącznie".

Blokowy Hołubiak, wyraźnie podniecony rolą tłumacza, chciał ze swej strony też coś wnieść, oświadczając uroczystym głosem: "Wy bandyci, jak chcecie ujrzeć wolność, która już jest blisko, nie próbujcie ucieczek lub innych sztuczek, bo zginiemy wszyscy. Za takie próby będę sam wymierzał stosowne kary".

Tym akcentem zakończyło się przemówienie komendanta obozu, po którym wróciliśmy na bloki. Tego rodzaju niecodzienne wystąpienie było z miejsca wśród więźniów i funkcyjnych odpowiednio komentowane, a jednocześnie stwarzało nadzieje przetrwania i podnosiło na duchu. Idąc następnego dnia do fabryki widzieliśmy, że ludność niemiecka wychodziła na okoliczne pola z łopatami, budując rowy strzeleckie i przeciwczołgowe dla swoich wojsk. Były to umocnienia na przedpolach Breslau. Jednak wiadomości, docierające do obozu potwierdzały, że front niemiecki jest w ciągłym odwrocie.

Błyskawiczna ofensywa Armii Radzieckiej, rozpoczęta 12 stycznia 1945 r., spowodowała, że SS-mańskie władze zarządziły natych-

miastową ewakuację naszego obozu do Gross-Rosen. Wśród więźniów Fünfteichen z bloku nr 9, który był moim blokiem przed kolejnym pójściem na rewir, byli dwaj moi bracia, Rysiek i Tolek, i wielu innych, już uprzednio wymienionych. Na rewir trafiłem ponownie z placu apelowego, na którym zemdlałem z wyczerpania. Ewakuacja z rewiru była poprzedzona szeregiem po sobie następujących badań chorych, a raczej selekcją, prowadzoną początkowo przez lekarzy, a następnie przez samych SS-manów, którzy decydowali i kwalifikowali chorych do włączenia ich do kolumn ewakuacyjnych. Wyglądało to tak, że każdy chory był dosłownie stawiany na nogi przy pomocy personelu rewiru i gdy tylko potrafił utrzymać się chwilę o własnych siłach - kierowano go do ewakuacji.

Godzinę wymarszu ogłoszono biciem dzwonu i gongów obozowych, po czym nastąpiło liczenie więźniów, bicie, popychanie. Słowem - jak co dzień. Na terenie rewiru dokonano przegrupowania chorych, których pozostało przy życiu około 300, segregując ich i lokując według rodzajów chorób, jak: czerwonka, tyfus, flegmona i inne. Baraki rewiru, jak się później okazało, były zaminowane, co groziło całkowitą zagładą pozostałych jeszcze przy życiu chorych. Mimo ewakuacji więźniów z głównego obozu, byliśmy nadal strzeżeni przez SS-manów: dopiero 22 stycznia 1945 roku po południu przekazano obóz do strzeżenia polowej żandarmerii i policji niemieckiej.

E tym czasie, nie otrzymując posiłków, rozpoczęliśmy gotowanie zup raz dziennie ze "zorganizowanych" resztek jedzenia i rozmaitego zieleńca. W większości przypadków chorzy silnie gorączkowali i nie zdawali sobie nawet sprawy, co się wokół nich działo. Wzrastająca ilość codziennych zgonów, nie ogrzewane baraki, brak wody, światła, pożywienia powodowały zupełne otępienie myślowe, niereagowanie na otaczające zjawiska, słowem bezwład myśli i woli. Sytuacja taka była nie do zniesienia.

Wielka śmiertelność więźniów i leżące sterty ciał ludzkich przed barakami zmusiły wreszcie Niemców do zarządzenia zakopywania trupów obok obozu, około 150 metrów od głównej bramy w kierunku wsi Miłoszyce, w małym, liściastym lasku. Transport ciał odbywał się w ten sposób, że ok. 10 więźniów ciągnęło za nogi nieboszczyka na miejsce, do głębokiego dołu, w którym miał być zakopany.

Dalekie odgłosy artylerii, a wkrótce i karabinów maszynowych, zwiastowały zbliżający się front i wolność tym, którym starczy jeszcze sił na parę dni. Atmosfera wśród więźniów stawała się niepokojąca, napięcie wzrastało z godziny na godzinę. Szeptano, że zostaniemy wysadzeni w powietrze względnie obrzuceni granatami i spaleni dla zatarcia hitlerowskiego barbarzyństwa. Jednak bardziej wytrwali starali się podnieść pozostałych na duchu, wskazując na wyraźne zbliżanie się frontu i Armii Czerwonej, niosącej wyzwolenie.

Drugiego dnia i nocy takiego wyczekiwania, żandarmeria dokonała przeglądu baraków, zapowiadając jednocześnie i przestrzegając, że każde wychylenie głowy z baraku lub usiłowanie wyjścia grozi natychmiastowym zastrzeleniem. Mimo zamkniętych okiennic w naszych barakach, siedząc w ciągu dnia w półmroku, obezwolaliśmy przez szpary, co się dzieje przy barakach komendy obozu, opuszczonej przez SS-manów. Widzieliśmy, że warty są okresowo zmieniane, a straż obecnie sprawuje wojsko, ubrane w cywilne ubrania, z karabinami.

Po długim jak całe wieki dwudniowym wyczekiwaniu nadeszło wreszcie dla nas wyzwolenie. Pamiętnego dnia 23 stycznia 1945 roku, o godzinie 11 rano przy 18-stopniowym mrozie i śniegu, dwuna-

stu zwiadowców konnych Armii Czerwonej, okrytych białymi pelerynami, przyniosło nam upragnioną wolność. Oddział Armii Radzieckiej, przybywający do obozu, spotkała nieliczna już grupka więźniów u bramy wjazdowej. Trudno opisać to spotkanie. Radość i łzy więźniów łączyły się z niedowierzaniem, że można już swobodnie rozmawiać z oswobodzicielami. Zapoznając się z warunkami życia więźniów, żołnierze radzieccy pytali, czy wśród nas znajdują się jeszcze oprawcy, którzy mordowali więźniów. Jak się okazało, było wśród nas jeszcze dwóch kapo obozowych, którzy korzystając z zamieszania podczas ewakuacji ukryli się wśród chorych więźniów. Jednym z nich był kapo o przyzwisku "Cygan". Przeprowadzono krótką rozprawę sądową na placu apelowym; zapadł wyrok rozstrzelania obu kapo. Jednocześnie oznajmiono nam, że chorymi zajmą się sanitariusze wojskowi, którzy przybędą w niedługim czasie. Dla tych zaś, którzy mogą wyjść o własnych siłach z obozu, droga na Wschód jest już wolna.

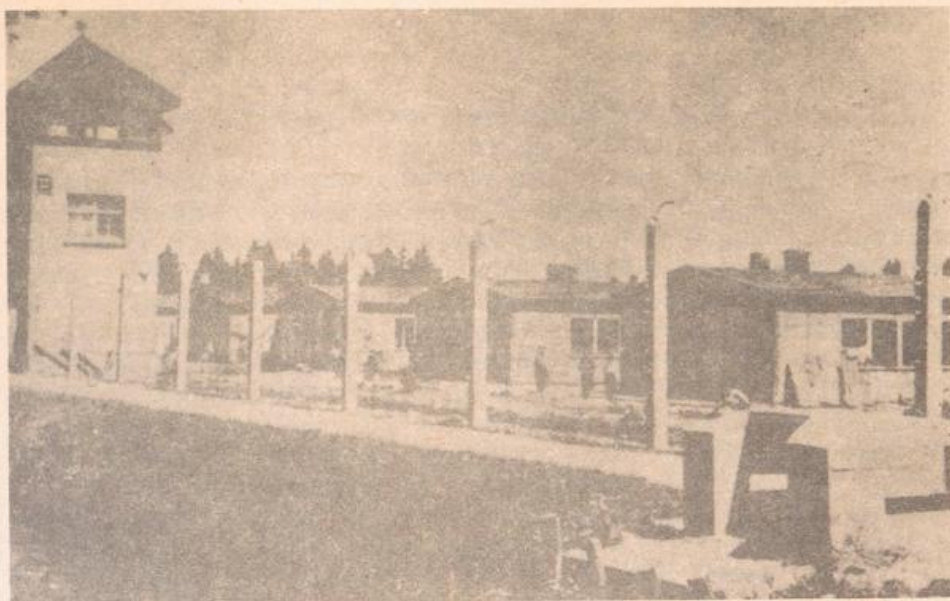
Ponieważ wszyscy chorzy na rewirze pozbawieni byli bielizny osobistej, leżąc na pryczach pod jednym kocem, zaszła konieczność wyszukania ubrań i bielizny dla tych, którzy mogli udać się do swoich rodzin. Kilku więźniów "zorganizowało" z pobliskiego domu kolejowego ubranie, ułatwiając w ten sposób wyjście niektórym kolegom z obozu bezpośrednio po jego oswobodzeniu. Otrzymawszy ubranie znalazłem się i ja w pierwszej grupie opuszczającej obóz. Wśród więźniów tej grupy poza mną byli: Stefan Ryś z Otwocka, Roman Kucharczyk z Warszawa, Tadeusz Łapiński z Łap i paru z Żyrardowa.

Jak stwierdziliśmy, w magazynach poza drutami obozu znajdowały się spore zapasy żywności, z których dla czteroosobowej grupy wzięliśmy jeden bochenek chleba i 4-kilogramową skrzynkę marmolady, lecz z tych prowiantów nie skorzystaliśmy. Okazało się bowiem już na pierwszym kilometrze naszego powolnego marszu, że zabrakło nam siły do niesienia żywności. Trzeba było pozostawić ją. Dochożąc do pierwszej wsi /obecne Miłoszyce/, oddalonej o 0,5 km od obozu, spotkaliśmy Polaków oznaczonych literą "P". Byli to robotnicy wywiezieni przymusowo na roboty do Niemiec.

Mimo jazgotu karabinów maszynowych, huku dział i rozrywających się pocisków artyleryjskich wracaliśmy razem do domu. Droga do kraju wiodła przez miasta: Namysłów, Kluczbork, Lubliniec i Częstochowę do umęczonej, drogiej każdemu Polakowi Warszawy.

Ja byłem wolny, lecz moi bracia i wielu, wielu moich kolegów - nie doczekali się tak upragnionej wolności. Wszyscy zginęli z rąk hitlerowskich oprawców podczas wielomiesięcznej tułaczki ewakuacyjnej po różnych obozach koncentracyjnych, rozsianych gęstą siecią na terenach III Rzeszy.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.10



Fragment obozu Fünfteichen
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.11.



Obóz "Fünfteichen" w 1965 roku; oglądała
go grupa b. więźniów
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.2

TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ ...

Sobota 20 stycznia 1945 roku minęła sześciotysięcznej rzeszy więźniów obozu koncentracyjnego Fünfteichen w radosnym podnieceniu i oczekiwaniu wielkich wydarzeń. Zdenerwowanie i widoczny strach hitlerowców utwierdzały nas w przekonaniu, że zwycięska ofensywa wojsk radzieckich posuwa się szybko naprzód. W tym dniu nocna zmiana została cofnięta od bramy obozowej i nie poszła już do pracy. Długo w nocy trwały ożywione rodaków rozmowy, wszystkim snuła się w myślach z takim utęsknieniem oczekiwana wolność.

W niedzielę 21 stycznia o godz. 4 rano wyraźny huk salw artyleryjskich podrywa wszystkich na nogi. W serce każdego więźnia wstępuje coraz silniejsza nadzieja, że wyzwolenie już blisko. Każda salwa stanowi w uszach więźnia radosny śpiew, zwiastujący wolność. Niestety, następujące po sobie wydarzenia przerażają nas. Bestie spod znaku swastyki nie chcą wypuścić ze swych szponów uciemiężonych ofiar, obmyślają plan zagłady obozu i ewakuacji. Następuje selekcja rewiru. Więźniowie chorzy i szłaniający się na nogach, odziani w nędzne łachy, zostają przydzieleni na bloki. Ciężko chorych pozostawiono.

O godzinie 12 wycie syreny alarmowej ściągnęło więźniów na plac apelowy. Wściekłe krzyki blokowych, kapów oraz blockführerów z psami wypędzają więźniów z baraków. Przed bramą i wokół obozu cały komplet załogi SS oraz dodatkowo przydzielonych około 200 bandytów z ukraińskiej SS-Galizien, uzbrojonych w ręczne karabiny maszynowe. Krótkie ostrzeżenie ze strony raportführera, że ktokolwiek będzie próbował ucieczki, ten będzie zastrzelony. Pochód-widmo, otoczony SS-manami, wyrusza przez zaśnieżone pola w kierunku Katowic. Towarzyszy nam w górze stado kruków i gawronów.

Przy dwudziestostopniowym mrozie przeprowadzono całą kolumnę przez zamarznięte koryto rzeki Odry. Okrążamy Wrocław od południa i półkolem kolumna idzie w kierunku zachodnim. O zmierzchu zostajemy wprowadzeni na dziedziniec dużego majątku obszarniczego, kolumna formuje czworobok, po czym pada krótka komenda "hinlegen!" /kłaść się/. SS-mani ustawili co parę kroków karabiny maszynowe. Koksiaki dają im trochę ciepła i światła, ułatwiającego pilnowanie nas. My zaś, skuleni, ściśnięci, przeżywamy koszmarną noc. Mimo potwornego zmęczenia dość szybkim, parogodzinny marszem, nie możemy zasnąć. Łączymy się przeto w grupy po 3-4 osoby, kładąc na ziemi, przeważnie ośnieżonej, jeden lub dwa koce, a resztą się przykrywając.

O świcie pada komenda "auf!", ale niestety nie wszyscy ją słyszą. Nie pomagają uderzenia kolbami ani szcucie wilczurów. Wielu więźniów zmarło z zimna, część zmożliła choroba, na którą zapadli jeszcze przed wymarszem z obozu. Wyznaczona przez SS-manów grupa więźniów zbiera zmarłych, zakopując ich ciała częściowo w ziemi, a częściowo tylko przysypując śniegiem.

Pochód rusza w dalszą drogę. Szosy zajęte są przez cofające się oddziały wojsk niemieckich, drogi zatarasowane przez uciekinierów cywilów. Nas prowadzą polnymi drogami lub po prostu przez pola, co ułatwia znacznie SS-manom szybsze pozbywanie się uciążliwego balastu, jakim są dla nich konwojowani więźniowie. My zaś, zmęczeni, przemarznięci i wygłodzeni, gorączkujący, potykamy się coraz częściej. Padają dalsze ofiary. Coraz częściej słyszeć wy-

strzały, które wydobywają ze ślaniających się więźniów ostatki sił. Sprawnie i skrupulatnie działa grupa morderców. Wlokących się i padających ze zmęczenia i chorób więźniów dobijają strzałem w tył głowy z pistoletu lub karabinu. Zwłoki przysypuje się śniegiem, gdyż na kopanie grobów nie ma czasu, a ponadto ziemia jest mocno zmarznięta.

Idziemy dalej. Jeden drugiego prowadzi pod ramię i podtrzymuje: syn ojca, brat brata, przyjaciel przyjaciela, silniejszy słabszego, dodając im otuchy i pocieszając. Pocieszamy się zresztą wzajemnie, że jeszcze jeden dzień - dwa i będzie po wszystkim. Dzielimy się ostatnimi okruchami zmarzniętego chleba. Jakże trudne i dalekie jest jednak spełnienie naszych marzeń. Nadchodzi druga noc - spędzona w podobnych a może jeszcze gorszych warunkach. Efekty spania pod gołym niebem są bardziej dotkliwe niż w dniu poprzednim. Liczba trupów jest znacznie większa. Idziemy dalej.

Na skraju polnej drogi widać kopiec zmarzniętych na kamień bureków cukrowych. Więźniowie, nie bacząc na strzały SS-manów, na bicie kolbami, szczucie psami, rzucają się, by je zdobyć.

Na rozstaju drogi stoi samotny krzyż. Dochodzi do niego resztką sił młody chłopiec, dziecko może szesnastoletnie, spogląda w górę, szukając jakby ratunku. Ale pada strzał i kończy to młode życie.

Trzecią noc spędzamy w stodołach dużego majątku ziemskiego. Rano przed wymarszem kilkunastu więźniów zakopuje się w sianie. Niestety czujne wilczury wyszukują wszystkich. Ustawieni pod jedną ze stodoł, giną od kul karabinowych. Czwarty dzień marszu zbliża nas do znajomych okolic. Mijamy położony w oddali kamieniołom, a za chwilę widać komin krematorium w Gross-Rosen. Dochodzimy do tej potwornej kaźni, w której straciliśmy część naszego zdrowia, a wielu z nas życie.

Obóz główny jest zapełniony transportami ewakuacyjnymi z Oświęcimia, dla nas nie ma już miejsca. Ale jeszcze nie w pełni obłożony jest nowo wznoszony obóz, tzw. "oświęcimski". Baraki z cegły nie wykończone, bez drzwi, bez okien i podłogi, bez garstki słomy - oto nasze nowe lokum. Jako wyżywienie otrzymujemy raz dziennie trochę wodnistej zupy, i to nie zawsze, gdyż w obozie panuje wielki rozgardiasz i bałagan. Warunki sanitarne okropne, szerzy się wszawica i choroby. Stosy trupów narastają, a przybывают coraz to nowe komanda.

Po czternastu dniach od naszego przybycia, tj. 8 lutego 1945 r. rozpoczyna się ewakuacja obozu Gross-Rosen. Część więźniów idzie pieszo w kierunku południowo-wschodnim, w grupach po około 2000 ludzi. Większość zostaje załadowana do pociągów towarowych po mniej więcej 2000 osób na każdy pociąg. Do otwartego wagonu-węglarki ładowano 150 więźniów, którzy w pozycji siedzącej mogli zajmować tylko dwie trzecie wagonu, jedną trzecią - środek - zajmowało 4 SS-manów ze swoim wyposażeniem służbowym i prywatnym. Ciasnota, zwłaszcza nocą, kiedy nie wolno było się podnieść, okropna.

Całe wyżywienie na drogę to pół kilograma chleba, który większość zjadła od razu, szybko więc zaczął doskwierać głód, ale przede wszystkim pragnienie. W drodze nie otrzymujemy żadnego napoju, chociażby tylko zimnej wody. Prawie każdy więzień ma gorączkę, więc pragnienie jest tym bardziej dokuczliwe. Ponadto dzieją się rzeczy straszne. Kapo, blokowi maltretują nas, biją dla przyjemności. Kto uklęknie lub upadnie, nie ma już sił na podniesienie się i w ciasnocie ginie zaduszony. Wszy zbiera się całymi garściami

mi, ale tak, aby nie widział tego SS-man, gdyż skończyłoby się to śmiercią.

Dojeżdżamy do Weimaru. Mamy być ulokowani w Buchenwaldzie, lecz ten obóz już jest zapełniony. Ilość trupów w każdym wagonie wzrasta, stoimy coraz luźniej, ale wyżej. Pociąg w jednym z większych miast, bodajże w Lipsku, zatrzymuje się na dłuższy czas, zjeżdża na bocznice. Następuje segregacja według proporcji: dwa wagony trupów, jeden wagon żywych. SS-mani pracują, dobijając mużłmanów. Ginie wielu kolegów i znajomych jeszcze z Pawiaka. Z sąsiedniego wagonu na czworakach wychodzi patrząc błędnym wzrokiem mój kolega z celi na Pawiaku, działacz lewicowy z Legionowa, Józef. Chcę mu udzielić pomocy, lecz on szeptem prosi: pozdrów moją rodzinę, powiedz, że nie wytrzymałem. Stojącemu obok SS-manowi daje znak, aby go dobił. Na moje perswazje, aby się nie poddawał, nie ma już siły odpowiedzieć. Jego mgliste oczy zdają się mówić "to wszystko nie ma już sensu".

Pociąg rusza dalej, by po kilku dniach dowieść się do Mauthausen w Austrii. Otwierają się drzwi wagonów, więźniowie, nie mając już siły, by je opuścić staczają się jak kłody, popędzani szturchańcami i kopniakami. Na ziemi resztki topniejącego śniegu i wielkie kałuże wody, którą piją umęczeni ludzie. SS-mani przy pomocy kolb i kopniaków formują kolumnę marszową, po czym ruszamy w kierunku obozu. Z tyłu i z boków dobiegają wystrzały. W ten sposób dobija się wyczerpanych. Silniejszym dodaje otuchy nadzieja, że w obozie będą nieco lepsze warunki, które pozwolą nam przetrwać do końca.

Nareszcie brama obozowa i plac apelowy. Temperatura spada do minus dziesięciu stopni, wieje ostry, przenikliwy wiatr, a my stoimy w kolejce przed łaźnią. Nad ranem, w grupach po 50 osób, wchodzimy do łaźni, gdzie oczekuje nas prysznic z prawie gotującej się wody. Skóra schodzi całymi płatami, a z nią wszystkie robactwo. Smarowanie pachwin i głowy cuchnącym płynem dezynfekcyjnym dla koni i ... w jednej koszulini na mróz. W tych warunkach, jak się później okazało, zapalenie płuc zdziesiątkowało stan osobowy więźniów. Umiera m. in. dwóch moich przyjaciół, aresztowanych wraz ze mną. Samochody, jeden za drugim, przewożą przez trzy doby zwłoki więźniów ze stacji kolejowej do krematorium. Płomienie ognia widoczne są z kominów krematoryjnych, a swąd spalanych ciał czuć nie tylko na terenie obozu. Ponieważ krematoria nie nadążają, komendant obozu rozkazuje kopać olbrzymie doły i zakopywać w nich sterty trupów na metr i wyżej.

Jest druga połowa lutego i dla pozostałych jeszcze przy życiu więźniów zaczyna się kolejny etap obozowej vegetacji, przydział na bloki Zugangów, a następnie do komand pracy. Przez pewien czas przewożymy w piątkę z krematorium prochy spalonych. Układamy je w równe przyzmy kompostowe w obozowym ogrodnictwie z przeznaczeniem na nawóz pod warzywa i kwiaty.

Wreszcie zbliża się maj 1945 roku. Do obozu przenikają coraz pomyślniejsze wieści, natomiast wśród SS-manów wyraźnie narasta niepokój. Praca w komandzie obsługi i naprawy samochodów, do którego zostałem przydzielony, trwa szesnaście i więcej godzin na dobę. Wszystkie pojazdy muszą być sprawne. SS-mani szykują się do ucieczki, a nas znów ogarnia lęk, czy nas nie wymordują.

3 maja załoga SS-mańska ucieka, a 5 maja 1945 roku zostajemy uwolnieni przez VI Armię Amerykańską.

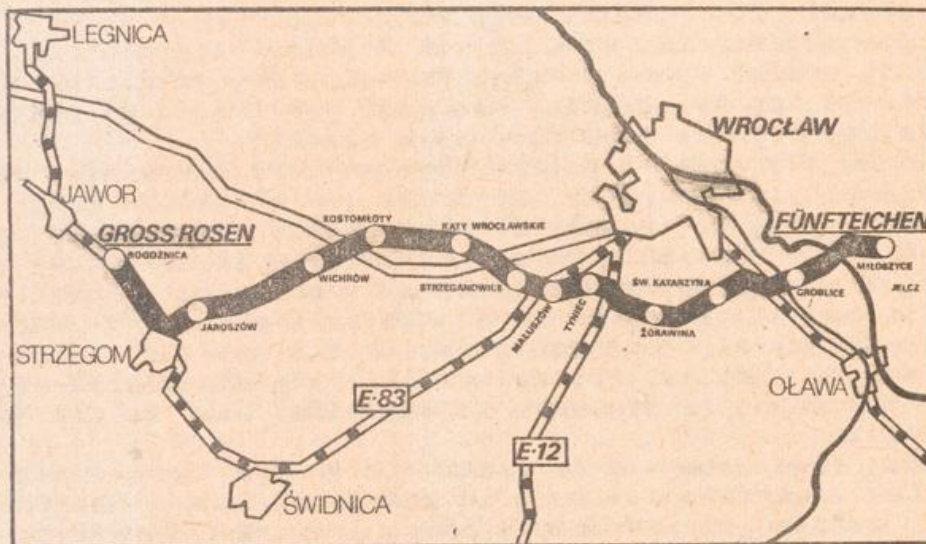
Niestety, nieliczna garstka pozostałych przy życiu więźniów z byłego podoboju grossrozeńskiego Fünfteichen była już u kresu

życia. Wystarczy wspomnieć, że ważyłem wówczas 37 kg, a w podobnym stanie była zdecydowana wśród nas większość. W kilka dni po oswobodzeniu obozu zebraliśmy się, aby ustalić liczbę pozostałych przy życiu, i okazało się, że jest nas około 200 osób, a więc tylko 10 procent z liczby transportowanej z Gross-Rosen do Mauthausen. Ilu pozostało przy życiu więźniów byłego komanda Fünfteichen trudno określić, gdyż byli oni ewakuowani z Gross-Rosen do kilku obozów /m. in. do Buchenwaldu, Flossenburga, Dachau, Dora-Mittelbau i innych/.

Szlak naszej Golgoty, znaczonego tysiącami mogił i przesiąknięty krwią męczenników-bohaterów, leży na wyzwolonej ziemi dolnośląskiej i jest groźnym ostrzeżeniem dla wszystkich. Niech śmierć naszych przyjaciół i kolegów, ojców i braci, krwawiące z bólu serca rodzin, które straciły swych bliskich, zobowiążą nas do pamięci o Nich i do ciągłego czuwania. Ich tragedia niech zawsze przypomina o groźnym w dalszym ciągu niebezpieczeństwie wojny.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.13

3.



Droga ewakuacji więźniów Fünfteichen do Gross-Rosen w styczniu 1945 roku
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.9

FÜNFTEICHEN - STYCZEŃ 1945

Po obozie krążą coraz bardziej optymistyczne wieści. Kolega Marian Kossowski z Sandomierza, który w Zakładach "Bertha-Werke" ma dobre stosunki z cywilnymi majstrami czeskimi, przynosi do obozu gazety niemieckie. Dowiadujemy się z nich, że 12 stycznia armia radziecka rozpoczęła ofensywę znad Wisły. Pułkownik Stanisław Swoboda-Lubczyński, były zawodowy oficer, analizując komunikaty naczelnego dowództwa niemieckiego informuje, że ofensywa Armii Czerwonej przybiera gigantyczne rozmiary, przynosząc duże sukcesy.

Jesteśmy pełni optymizmu, ale płk Swoboda jest realistą. Przypomina nam, że w kasie pancерnej każdego komendanta obozu znajduje się dokument oznaczony napisem "streng geheim" /ściśle tajne/. Jest tam rozkaz Hitlera, który wyraźnie stanowi: "Zaden więzień obozu koncentracyjnego nie może dostać się żywy w ręce nieprzyjaciela". Jak wykona ten rozkaz "swego wodza" Otto Stoppel, komendant obozu? To przecież jego wierny żołnierz! Walczył w elitarnych jednostkach SS, wchodzących w skład VI armii gen. von Paulusa, gdzie został ranny w rękę. Przewieziony samolotem do szpitala w Berlinie, po wyleczeniu, nie mógł już wrócić do swojej armii, gdyż była ona wraz ze swym dowódcą w niewoli.

Dzień 20 stycznia. W obozie słychać coraz wyraźniej strzały dział polowych, co świadczy, że front już blisko. W grupie więźniów, w której są m. in. płk Swoboda-Lubczyński i Jasio Nowakowski z Radomia - również zawodowy wojskowy - zastanawiamy się nad szansami obrony, gdyby zaszła taka potrzeba. Jest z nami również Leszek Piotrowski, który pracuje jako kalifaktor u komendanta Stoppela. Cieszy się jego zaufaniem, a dla nas jest idealnym informatorem. Prosimy go, aby za wszelką cenę dowiedział się, jakie są plany komendanta w stosunku do więźniów. Jest to dla nas sprawa zasadnicza!

Jeszcze tego samego dnia Leszek informuje, że Stoppel chce zostawić obóz z więźniami i wycofać załogę SS-manów. Niestety w dniu następnym otrzymujemy od Leszka nową, przykrą informację. U komendanta obozu była podobno delegacja więźniów niemieckich, którzy prosili, aby "nie zostawiać ich z tymi polskimi i ruskimi bandytami, bo jakkolwiek są więźniami, to jednak płynię w nich ta sama niemiecka krew". Zdawali sobie sprawę z tego, ile krzywd i nieszczęść wyrządzili więźniom innych narodowości, i bali się konsekwencji. W tej sytuacji komendant obozu podjął decyzję o ewakuacji całego obozu do Gross-Rosen.

21 stycznia 1945 roku ponad sześć tysięcy więźniów, w kolumnie otoczonej przez wartowników SS, z których część posiada psy, wychodzi z obozu. Na rewirze pozostaje około 200 chorych, którzy nie mogą już chodzić o własnych siłach. Płk Swoboda sugeruje, abym z moimi kolegami szedł na końcu kolumny, w środku są Jasio Nowakowski i Tadek Smarzewski ze swoimi blokami. Jest bardzo zimno, poniżej 20 C, drogi pokryte grubą warstwą śniegu.

Gdy przechodzimy przez zamrożoną Odrę, podchodzi do nas Stoppel i każe, aby na sanki należące do SS-manów i ciągnięte przez nas, zabrać wskazanego przez niego więźnia, gdyż jest słaby i nie może dalej iść. Jak się okazało, był to Żyd austriacki, b. dyrektor teatru w Wiedniu, świetny aktor, który w obozie Fünf-

teichen zorganizował teatr dla SS-manów. Po raz pierwszy w czasie mojego pobytu w obozach usłyszałem, że SS-man chce ratować więźnia, i to Żyda. Komentujemy to zdarzenie między sobą jako radykalną zmianę w postępowaniu oprawców w stosunku do więźniów. Ale o tym, że byliśmy w błędzie, mogliśmy się przekonać już za chwilę.

Krańcowo wyczerpani wleczeni się coraz wolniej. Coraz częściej też padają najsłabsi, a gdy tylko minie ich kolumna, natychmiast przy leżącym czy siedzącym jeszcze, zjawia się zwiastun śmierci. Jest nim podoficer SS Gallasch, który zawsze w jednakowy sposób wykonuje swoje zadanie. Te same ruchy, gdy zbliża się do swojej ofiary i strzela w to samo miejsce - w tył głowy. Niency, a tym bardziej SS-mani, są dokładni w wykonywaniu swojej roboty, bez względu na to, jaka ona jest.

Wieczorem zatrzymują nas na nocleg - będziemy spali w jednym z dużych majątków obszarowych. Ma on bardzo dogodny dla SS układ budynków gospodarczych. Tworzą one kwadrat, między nimi są tylko trzy przejścia, a w środku znajduje się wielkie podwórze. Niejeden z nas myśli, jakby tu uciec, ale sprawa nie jest prosta. Wszystkie trzy przejścia, jak i całe podwórze, obstawione są gęsto wachmanami, gotowymi do strzału, gdyby ktoś z nas próbował się podnieść. My zaś, zmarznięci, przytulamy się coraz mocniej do siebie, aby straty własnego ciepła były jak najmniejsze, aby jakoś do rana przetrwać. Większość więźniów śpi na garstkach słomy wyrzuconej ze stodoł, przykryta kocem zabrany z obozu Fünfteichen. Nielicznym tylko udało się wejść do obory, stajni lub stodoły, które były przeznaczone dla funkcyjnych.

Gdy zrobiło się widno, po komendzie "antreten", idziemy dalej. Na miejscu pozostają słabi i zmarznięci. Pozostaje także część załogi SS oraz utworzona z więźniów grupa robocza. SS-mani penetrują dokładnie, przy pomocy psów, wszystkie budynki gospodarcze, wyciągają ukrytych w nich więźniów i likwidują na miejscu. Ten sam los spotyka tych, którzy z braku sił nie mogą już podnieść się z ziemi. Dla zatarcia śladów ludobójstwa, zorganizowana przez SS-manów grupa więźniów porządkuje podwórze, zakopując zwłoki zlikwidowanych i zmarzniętych poza terenem "gościnnego" gospodarstwa.

Nasza kolumna posuwa się dalej, ale na trasie pozostaje coraz więcej więźniów, i to ludzi młodszych, którym nie starcza już sił do kontynuowania marszu. W pewnej chwili zjawia się przy nas Stoppel, odwołując na bok Leszka. Idąc kilkanaście metrów za kolumną, butny do tej pory lagerkomendant coś Leszkowi tłumaczy i opowiada. Po godzinie wiemy, o co szło w tej rozmowie. Stoppel poruszał w niej różne tematy, o wojnie, o polityce, wyrażając przy tym niezadowolenie, że on, frontowiec, musi na zapleczu wykonywać inne czynności. Najbardziej żał mu było ginących ludzi, szczególnie młodych, przed którymi dopiero przyszłość. W następnym dniu, już nie tylko wobec Leszka i nie tak dyskretnie jak poprzednio, żałował padających z wyczerpania ludzi.

Komentujemy to między sobą jako planowe stwarzanie dla siebie alibi, że wykonywał tylko rozkazy swych przełożonych, ale osobiście to on kochał tych, których SS-mani mordowali. W czwartym dniu naszej gehenny sprawa się wyjaśnia i Stoppel pokazuje swe prawdziwe oblicze. W rozmowie z Leszkiem Piotrowskim powrócił do tego tematu, że szkoda mu młodych ludzi, ale tym razem uczynił to w kontekście zmniejszania się ilości rąk do pracy. Twierdził, że armia niemiecka już od 1939 roku walczy i żołnierze po zakończonej wojnie będą musieli odpocząć, więc kto będzie na nich pracował, jak zginą ci młodzi ludzie? Stoppel ukazał się w tym momencie nie tyl-

ko jako współzabójca ludzi, ale jako cyniczny i wyrachowany kalkulator.

Tymczasem w kolumnie dzieją się rzeczy straszne. Na drodze padają już nie tylko starci i najsłabsi, ale także chłopcy, którzy na początku naszej cierniowej drogi czuli się jeszcze względnie dobrze. W pamięci mojej pozostał obraz chłopca z powstania warszawskiego. Gdy zauważyłem, że pozostaje w tyle kolumny, zacząłem mu tłumaczyć potrzebę maksymalnego wysiłku, bo wojna zbliża się do końca, a my będziemy wolni. Na to on płacząc, pokazuje mi swoją pierś i mówi: "Tu jestem zdrowy, ale nogami nie mogę poruszać". W pewnym momencie, z wielkim wysiłkiem próbuje przedostać się przez rów do krzyża, stojącego po drugiej stronie. Niestety, nie starcza mu sił i przewraca się w rowie. Wiedząc, co go czeka za chwilę, naciąga płaszcz na głowę, gdyż nie chce widzieć mordercy. Ale SS-man jest bezwzględny. Ściąga płaszcz i strzela z pistoletu w tył głowy. Tak robi znany nam spec Gallasch.

Ale śmierć słabszych fizycznie więźniów przychodziła do nich również z najmniej oczekiwanej strony. Oto funkcyjny więzień imieniem Wasyl - Ukrainiec, sympatyk gen. Własowa, wraz ze swoją grupą napadali na śpiących, zabierając im resztki chleba. Chirurg Jan Pierzchała z Wrocławia, który był świadkiem takiej sceny, nie może tego opowiadać spokojnie. W czasie tego marszu-śmierci zginął co trzeci więzień, co oznacza, że około 2000 więźniów, którzy wyszli 21 stycznia 1945 roku z obozu Fünfteichen, nie dotarło do Gross-Rosen.

Po wojnie dwaj znani dziennikarze wrocławscy, Andrzej Bułat i Wacław Dominik, postanowili przybliżyć te fakty naszemu społeczeństwu. Z ogromnym nakładem pracy, w oparciu o setki dokumentów, wizje lokalne, przeprowadzane przy współudziale więźniów - uczestników tych tragicznych dni, napisali książkę pt. "Aż stali się prochem i rozpaczą". A Stanisław Kubiak nakręcił reportaż okolicznościowy, który nadała telewizja wrocławska w 1981 roku. Pozostały więc dokumenty, które pozwolą przyszłym pokoleniom pamiętać i wspominać o tragedii więźniów Fünfteichen w styczniu 1945 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.12

OD KRAT WIĘZIENNYCH^{x/}

Gross-Rosen

Do Gross-Rosen przyjechaliśmy ledwo żywi w Wielką Sobotę. Formalności wstępne, kąpiel. Około godziny 2 w nocy znaleźliśmy się w baraku. Przesiedzieliśmy, jak kto mógł, do rana, znużeni do najwyższego stopnia i głodni. O godzinie 7 dnia następnego, tj. w Wielką Niedzielę, otrzymaliśmy pierwsze od 3 dni pożywienie: po 1/2 litra wody zabarwionej otrębami. Jest to popularna u Niemców potrawa zwana "melka". Święta Wielkanocne były smutne i głodne. Do Gross-Rosen przywieźliśmy tyfus plamisty. Spowodował on 6-tygodniową kwarantannę. Byłby to dobry wypoczynek, lecz straszna ciasnota /brak miejsca do snu/ i długotrwałe apele na polu nago, na zimnie, zdecydowały, że był to okres b. przykry. Bicie przez esesmanów i sprzedajnych heftlingów również dało się we znaki. Wielu z nas zmarło od pobicia. Sławny tu był Iwan - jeniec rosyjski, który opowiadał, że z 18 000 jego współtowarzyszy pozostał tylko on i jeden kolega. Z dalszych informacji wynikało, że ten to właśnie Iwan był głównym narzędziem mordy w ręku Niemców. Zginął on w marcu 1945 r. z ręki Rosjan w obozie Mauthausen.

W Gross-Rosen cały nasz transport podzielono na komanda kierowane do różnych odległych od siebie miejscowości. Ja trafiłem do fabryki armat Kruppa w Markstadt /po polsku w Łaskowicach/, 20 km na wschód od Wrocławia. Pracowałem tam do 20.I.45 r. jako sekretarz majstra w dziale luf armatnich. Praca czystsza i lżejsza niż przy maszynie. Przydział do Kruppa przyjąłem z zadowoleniem. Tyle się słyszało o tych zakładach. Chciałem naucznie poznać organizację pracy w takim wielkim przemyśle, zdobyć techniczne, tajemnicze budowy groźnej broni, no i samych Niemców. /Znajomość Niemców tylko z życia w obozie nie można uważać za dokładną i wszechstronną/.

19.V.44 r. o godzinie 3 rano wyruszyliśmy pieszo z obozu Gross-Rosen do stacji kolejowej tejże nazwy, odległej o 4 km. Ubrano nas w nowe parczane pasiaki. Piękny poranek, drzewa w pełni kwiecia, świeżo, chłodno. Przy odejściu dostaliśmy po 10 dkg chleba i 2-3 dkg margaryny, pożywienie na 30 godzin jazdy koleją. Warunki jazdy, jak zwykle, wprost nieludzkie: cały czas na nogach, o głodzie, bez wody, bez możliwości opuszczenia wagonu.

20.V.44 r. o godzinie 9 przybyliśmy do obozu Fünfteichen, odległego od zakładów Kruppa o 4 km. Obóz ten liczył 5 000 więźniów, zatrudnionych w tychże zakładach.

Jak zwykle dokuczliwe formalności wstępne, kąpiel, strzyżenie, i pod wieczór do baraku - oczywiście bez jedzenia. Z wyglądu miejscowych więźniów staramy się odgadnąć warunki bytowania. Spostrzeżenia ujemne: mizerni, zmęczeni, brudni. Ubranie i bielizna wprost czarne od brudu i lepkie. Odżywianie niżej wszelkiego minimum.

^{x/} Józef Kobyliński, Od krat więziennych... w: Wspomnienia z niemieckich obozów koncentracyjnych. Praca zbiorowa, napisana przez byłych więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych. Ebensee, 1946 - Ośrodek polski b. więźniów OK - Camp 400, górna Austria, s. 151. Wybór fragmentów - A. Romanow.

Szpinak z piaskiem i brukiew. Praca w fabryce 12 godzin, zbiórki apele i droga do fabryki oraz powrót 6 godzin. Na spoczynek 5-6 godzin. Kiedy odliczy się prace porządkowe w baraku oraz alarmy lotnicze wówczas na spanie wypadnie przeciętnie 3-4 godziny na dobę. Śmiertelność b. duża: dziennie około 1 procent całego stanu. Perspektywa niewesoła.

W zakładach Kruppa

21.V.44 r. Pierwszy dzień u Kruppa. Są to zakłady przeniesione rękami polskich więźniów z Essen, po zbombardowaniu w r. 1942. Wykończono już 6 hal, gdzie na 2 zmiany pracuje około 7 000 ludzi. Dalsze hale w budowie. Wg założenia, całość zakładów miała wynosić 20 dużych hal i po wojnie również miała być obsługiwana przez więźniów. Przystąpiono już do budowy baraków dla kilkudziesięciu tysięcy niewolników.

Dziś nie ma już większego osiedla w Niemczech, gdzie by nie było obozu. W przyszłości, przy reżimie hitlerowskim, byłiby tylko więźniowie i policjanci. Do ludzi wolnych należałoby parę milionów hitlerowców. Ładna perspektywa! Z nastawienia, jakie można zaobserwować, nie ma mowy, by obecni więźniowie mieli być kiedykolwiek zwolnieni z obozów. O godz. 4 popudka, 1/2 litra wody z otrębami, 15 dkg chleba + 25 dkg chleba do kieszeni jako obiad, zbiórka, apel i o godzinie 6 wymarsz zmiany dziennej. Zmiana wynosiła około 2 000 więźniów. Eskortują esesmani i ich psy, które niejednego z nas kaleczą w czasie drogi. W ten sposób SS-mani dążą do utrzymania zwartości kolumny w czasie marszu, zapobiegają ewentualnej ucieczce więźniów. Droga uciążliwa, zwłaszcza podczas błota i podczas marszu porą nocną. Jako nowi, przeznaczeni jesteśmy na halę V, gdzie przydzielono nas do szkoły. Uczą tu bardzo szybko. Np. profesor uniwersytetu, lekarz czy astronom po 2 tygodniach nauki odchodzi do pracy na maszynie jako wykwalifikowany tokarz, frezer, szlifierz itp. Ten sam stopień doskonałości osiągać ludzie umiejący zaledwie czytać i pisać.

Poszczególne hale mieszczą różne działy produkcji, a powstałe części spotykają się w montowni. Zakłady Kruppa produkują miesięcznie 400-450 armat polówek i kilkanaście dalekonośnych, ciężkich armat. W rozbudowie dział artylerii przeciwlotniczej.

Rzuca się tu w oczy wielka ilość kierowników, nadzorców, poganiaczy. Robotników cywilnych około 20-25 procent - przeważnie Czechi i Francuzi. Reszta to więźniowie, głównie Polacy i Rosjanie. Dyrektorów jest z pięć stopni: mają oni zastępców, asystentów, nadmajstrów, majstrów, robotników przodowników, ich zastępców. Cała zgraja! A wszystko pogania ledwo żywego z głodu i zmęczenia więźnia. Często dochodzi do bicia i kopania. Wielu więźniów umiera na skutek obrażeń spowodowanych biciem. Prócz władz fabrycznych więźniowie mają jeszcze i własne, tak zwanych kapów. Kapowie to więźniowie narodowości niemieckiej, z reguły przestępcy i sadyści. Tylko takich wybiera się na te stanowiska. Każdy z władców ma prawo życia i śmierci w stosunku do więźniów, toteż los tych ostatnich jest b. ciężki. Gonieni, bici, kopani, głodni, brudni i zmarznięci, niewyspani, pędzą ciężki żywot. Większość pragnie jedynie szybkiej śmierci. O powrocie do rodzin i wolności przestali marzyć. Śmiertelność jest tak duża, że wystarcza parę miesięcy, by człowiek zdrowy i dość silny przeniósł się do wieczności. Bardziej nieszczęśliwych ludzi od więźniów w obozach niemieckich nie ma na świecie.

Po 20 dniach szkolenia zostałem przydzielony na halę IV w charakterze pisarza u majstra w dziale luf armatnich. Majster - wstrętny Niemiec z Essen, najgorszy u Kruppa - mam pecha. Mam trudności w porozumiewaniu się z nim. Mówi dialektem bawarskim, b. szybko i niewyraźnie. Gubię się wśród setek przeróżnych maszyn i różnorodności robót. Nie znam przy tym nazw technicznych. Początek pracy ciężki. Nie ma u kogo dokładnie się poinformować. Robotnik przodownik, 21-letni Czech z Pragi, postrzelony młodzieńiec, zawsze zagoniony, zresztą niewiele orientujący się w pracy sekretarza.

Własnym dociekaniem pomału wszedłem w tryb swych czynności. Polegały one na odbiorze od robotników prac akordowych, wystawieniu dowodów rachunkowych, notowaniu czasu pracy maszyn, przeszkód w pracy, składaniu meldunków okresowych, buchalterii, rozrachunku między Kruppem a komandami obozu.

Dziwnym wydaje się, że Zakłady Zbrojeniowe są obsługiwane przez więźniów, pozostawienie których na wolności było niebezpieczne dla Niemiec. Nawet kontrola dokładności obróbki części uzbrojenia, gdzie dokładność wymagana jest do 1/100 mm, wykonywana jest przez więźniów, i to przeważnie Polaków.

Stale się słyszało o zdolnościach organizacyjnych Niemców. Pilnie obserwuję, co się tu dzieje, i przychodzę do przekonania wręcz odwrotnego. Jest tu marnowanie sił ludzkich, a przez to wadliwa organizacja pracy. Nierówność produkcji poszczególnych działów jest przyczyną, że np. dla braku jakiegoś kołeczka montowania nie może złożyć przez cały dzień ani jednej armaty.

Administracja zakładów jest rozbudowana niepomiernie. Jedni wydają zarządzenia, drudzy zmieniają je, modyfikują. Dezorganizuje to robotnika i obniża wydajność pracy.

Zwróciłem uwagę na to, że dyrektorzy zakładów Kruppa, zamieszkali w odległości 3-5 km od fabryki, przyjeżdżają do pracy rowerami, a więc tak samo jak przeciętni robotnicy. Dlaczego nie limuzyną?

Okazuje się, że zarobki dygnitarzy niemieckich są b. skromne. Np. dyrektor hali /+ 1000 maszyn przy 3000 robotników/ pobiera miesięcznie 700-1000 marek, podczas gdy mój 21-letni Czech robotnik, przodownik-fachowiec, otrzymuje 550 mk. Zwykły robotnik, Niemiec, zarabia tu około 300 mk, obcokrajowiec 200-250 mk. Jak na stosunki polskie rozpiętość płac niewielka. Rzuca się tu w oczy laicyzm niektórych majstrów niemieckich. Niejednokrotnie stawiają oni robotnikom tak niedorzeczne zadania, że wzbudza to śmiech. Przyczyny tego wkrótce zrozumiałem. Większość dyrektorów, majstrów itp. to nie fachowcy, ale ludzie posiadający grubszą gotówkę. Gotówka prowadzi do zakładów Kruppa, a zakłady chronią od wojaka. A więc korupcja panuje i u "Übermenschów", i to w rozmiarach większych niż w "bagnie słowiańskim". Np. mój majster jest z zawodu krawcem, tutaj uchodzi za dobrego majstra prawdopodobnie dlatego, że jest energicznym terrorystą.

Więzień, który miał dosyć tytoniu, mógł nic nie robić, otrzymując przy tym premię za wzorową i wydajną pracę. Za butelkę wódki i 100 papierosów można kupić każdego Niemca. Toteż więźniowie, którzy otrzymywali dobre paczki żywnościowe z domu, urządzali się tu wcale znośnie, podczas gdy w tym samym czasie ich koledzy tyśiącami ginęli z powodu fatalnych warunków.

Charakterystyczna jest tu powszechnie dająca się zauważyć niechęć, z jaką jest wykonywana praca. Poza nieliczną garstką Niemców, którzy przez swą gorliwość pragną utrzymać się w zakładach,

wszyscy inni pracują pod przymusem. A więc niewolnikiem jest więzień Polak, Rosjanin czy Francuz. Takim samym niewolnikiem jest robotnik cywilny Czech, jest ich tu najwięcej, Francuz, Ukraińiec, a nawet Niemiec - niehitlerowiec. Gdy się wczuwam w tę wybitnie niewolniczą atmosferę pracy i gdy sobie uprzytamniam, że sprzymierzeni produkują w atmosferze oddania i dobrych chęci, łatwo jest przewidzieć wynik wojny, nawet wówczas, gdyby zasoby materialne i osobowe przeciwników się równoważyły.

Często rozmawiam z robotnikami Francuzami. Jest ich w moim dziale pięciu, w tym aptekarz, artysta malarz, dwaj subiekci tekstylni i tokarz zawodowy. Wszyscy tutaj pracują przy maszynach jako tokarze. Złapani byli na ulicy, w kinie czy wprost wyciągnięci z łóżka i pod groźbą rewolwerów sprowadzeni do Niemiec. Do więźniów Polaków odnoszą się b. życzliwie. Stosunek Czechów do Polaków jest nieprzychylny - nie mogą przeboleć Zaolzia. Poza tym są zdeklarowanymi rusofilami, a reżim komunistyczny uważają za najlepszy. Z trudnością udaje się ich przekonać, że owa wyidealizowana teoria znacznie traci na uroku po zetknięciu się z nią w praktyce.

Zagadkowe dla nas jest nie bombardowanie zakładów przez Amerykanów. Lotnictwa radzieckiego nie widać zupełnie, pomimo że zakłady Kruppa są im znane. Mamy do nich żal z powodu takiej wstrzeźliwości, każdy bowiem alarm lotniczy przynosi nam wytchnienie w pracy i możliwość zobaczenia słońca /wymarsz poza fabrykę/, którego nie widzimy czasem całymi tygodniami.

Administracja Kruppa interweniowała w sprawie odżywiania więźniów, częste bowiem są wypadki, że robotnik pada z wycieńczenia. Może to wpłynęło na poprawę wiktów, co jest warunkiem naszego "przeżyć lub nie przeżyć". Można sobie wyobrazić, jak pragniemy końca wojny i jak pocieszamy się wzajemnie każdą pomyslną plotką. A tym czasem na ogólny stan 5000 więźniów miesięcznie umiera około 1000 - 1500. Powód - wycieńczenie głodem, długotrwała praca, zimno. Najgłębsza choroba w tych warunkach jest śmiertelna.

Los chciał, że w związku z pracą u Kruppa otrzymałem pierwszą i ostatnią oficjalną w obozie chłostę. Wbrew mej woli zamianowano mnie starszym szyfu /szyf-dział produkcji/. Do obowiązków moich, poza normalnymi, należały: ewidencja więźniów zatrudnionych na szyfie, dopilnowanie zbiórek do apelu i odmarszu, pośredniczenie w zatargach między majstrami i robotnikami cywilnymi a więźniami. Najgorsze było to, że taki nic nie znaczący pionek ponosił odpowiedzialność za uchybienia więźniów na szyfie. Był więc kozłem ofiarnym, na którym skupiała się złość niemiecka.

W połowie czerwca uciekło podczas pracy nocnej dwóch Rosjan, w tym jeden z mojego szyfu. Wyrok niemiecki arcymądry: starszym szyfu wymierzyć po 25 batów. Podobnie po 25 sztuk otrzymają najbliżsi współpracownicy uciekinierów. Wracamy z pracy. Na placu apelowym obozu władze w komplecie - wszyscy zaopatrzeni w tęgie bykowce. Całą zmianę ustawiono w czworobok. Delikwenci musieli osobiście przynieść szafor-stołek. Katami byli: tęgi Niemiec i starszy bloku 5 G, mój ziomek i znajomy z Łucka.

Pierwszym, któremu wymierzono sprawiedliwość, był pewien Izraelita - wrzeszczał przeraźliwie. Drugim byłem ja. Całą siłą woli przywołałem do pomocy, by z godnością znieść to upokorzenie. Uderzenia były b. bolesne, zwłaszcza tęgiego Niemca. Czuję, że ciało rozrywane jest na strzępy. Zaciąłem zęby. Liczę razy 15, 16, 20, 25. Pada 26 raz i słyszę: "genug"! Był to głos starszego obozu. Wstałem zadowolony z siebie. Nie pisałem. Widzę na sobie zaciekawiony wzrok setek ludzi, jak również ich współczucie.

W baraku wyciąga się do mnie setka dłoni, by wyrazić uznanie. Paczkowicze zapraszają na poczęstunek. Zapominam o bólu. Dwa tygodnie nie mogłem usiąść na czterech literach.

W styczniu 1945 zaczęły krążyć różne plotki o ofensywie radzieckiej. Po pewnym czasie usłyszeliśmy strzały. Otucha wstąpiła w nas. Niestety, na kilka godzin przed przyjściem wojsk radzieckich wywlekli nas z obozu i pieszo powędrowaliśmy do swego obozu macierzystego w Gross-Rosen. Pozostali tylko chorzy. W pobliżu baraków z chorymi /ok. 800 ludzi/ wykopano dwa duże doły. Pozostało z nimi 12 SS-manów. Łatwo odgadnąć, jaki los spotkał chorych.

Marsz do Gross-Rosen /zygzakowata droga wynosiła około 150 km/ trwał 4 dni i był początkiem strasznej makabry, jaką przeżyli więźniowie podlegający ewakuacji na skutek przesuwania się frontu wschodniego. Tylko część najsilniejszych przetrzymała straszną próbę. Wszyscy słabi padli z trudów, kijów lub od kul niemieckich.

Ewakuacja

18.I.45 r. instalowano jeszcze u Kruppa maszyny zrabowane w Polsce. Obniżało to realność pogłosek o szybkim zbliżaniu się frontu. Jednak już 19.I. w nocy raptownie przerwano pracę, a 20.I. o godz. 16 cały obóz w liczbie 5000 ludzi pieszo wyruszył w drogę. Zakłady Kruppa z 5000 maszyn, sporą ilością surowca i gotowego sprzętu pozostały dla zdobywcy terenu.

Wyposażenie nas na drogę było różne. Niektóre baraki rozdały po 1 kg chleba, 15 dkg margaryny i 25 gr machorki, inne nie zdążyły wydać nic, podczas gdy magazyn zawierał dużo chleba, kiełbasy, cukru, sera, a nawet ciastek i cukierków. Wszystko to było przeznaczone dla esesmanów, którzy ze strachu zostawili całą żywność. Mnie zaprosili do swej paczki D. i F. Mieli oni bliskie stosunki z magazynem, przeto ich woreczek wystarczył nam na cztery dni drogi. Mogliśmy ponadto wspierać najbardziej potrzebujących.

Już po 3-4 godzinach marszu najsłabsi zaczęli padać na drodze. Zostali oni bez skrupułów zastrzeleni przez esesmanów. Do pierwszego noclegu, tj. w ciągu 6 godzin marszu, esesmani dobili 74 więźniów.

Do stodoły ziemianina, mogącej pomieścić maksimum 1500 ludzi, wciśnięto, wśród krwawych bójek, nieopisanego zgieźku, łamania rąk, nóg, rozbijaniu głów kijami i rewolwerami, około 3500 ludzi. Około 1500 więźniów, a w tej liczbie i ja, nocowało na śniegu. Temperatura wynosiła - 20 C i wiał dość silny wiatr. Siedem godzin oczekiwania i dalszy marsz!

21.I.45 r., skoro świt, wypędzono nas na dziedziniec majątku. Optymiści łudzili się nadzieją, że dostaniemy coś do jedzenia. Wszystkich spotkał zawód, gdyż nawet zimnej wody napić się nie pozwolono. Ruszamy w dalszą drogę głodni, niewyspani, zmarznięci. Słychać już dość często strzały. To dalsze ofiary kul niemieckich. Biedacy, którzy stracili swe siły w pracy na rzecz Niemiec, zostali bez litości zamordowani, gdy nie byli zdolni do dalszego marszu. W dniu tym zamordowanych zostało kilkuset więźniów.

Drugi nocleg - podobny do pierwszego. Ten sam brak miejsca, te same walki, nie mniej trupów. Osobiście tym razem trafiłem lepiej, zdobywając miejsce w szopie na drewno. Omal nie padłem jednak z ręki esesmana. Dla otwarcia drzwi szopy potrzebny był drązek, jaki zauważyłem na pobliskim kurniku. Sięgnąłem po niego.

Konwojent rzucił się do mnie, wymierzając cios kolbą w prawą skroń. Odruchowo zasłoniłem się dłonią, łagodząc siłę uderzenia. Esesman uderzył mnie w lewą skroń. Było to dotkliwe, lecz, jako nieporęczne, nie śmiertelne. Upadłem, ale po chwili odzyskałem przytomność. Przez dłuższy czas odczuwałem ból w lewej części głowy, a głównie skroni.

22.I.45 r. o godz. 6 pobudka i dalszy marsz. W marszu udało mi się napić wody. Przyniosło mi to pewną ulgę. Natomiast głód stał się tak dotkliwy, że elementy bardziej ryzykanckie, nie zważając na kule i kolby niemieckie, rzucały się grupami do przydrożnych domów prywatnych, rabując żywność. Zastrzelenie kilkunastu "rabusiów" nie powstrzymało dalszych. Zresztą kalkulowali słusznie: na jedno wyjdzie umrzeć od kuli padając po drodze z głodu, czy też z powodu rabunku. W ostatnim przypadku ginęli nie wszyscy, gdy w pierwszym nie ocalałby nikt.

Zdarzały się wypadki, że więźniowie z postrzałem głowy po pewnym czasie podnosili się i chcieli iść dalej - wtedy dobijano ich. Zauważyłem niezwykłą determinację, z jaką poddawali się śmierci nieszczęśliwi więźniowie i obojętność, z jaką reszta współtowarzyszy patrzyła na ten niesłychany i bezprzykładny akt zbrodni. Jeden z biedaków upadł przed grupą miejscowych ludzi, przyglądających się przemarszowi, jakby u nich szukając ratunku. Czy sądzicie, że odezwał się choć jeden głos w jego obronie, w chwili gdy morderca esesman przykładał mu do skroni lufę rewolweru? Nie! Przyglądali się z ciekawością.

Inny znów doczołgał się ostatkiem sił do stopni kapliczki z wizerunkiem przedstawiającym Świętą Rodzinę. Po kilku minutach schody kapliczki zalane zostały krwią, płynącą z przestrzelonej głowy Polaka. Gęstość strzałów wzmagająca się z każdą godziną. Do końca dnia marszu padło kilkaset osłabłych z głodu i trudu więźniów.

23.I.45 r. Co za radość! Rozdano nam po 1/2 litra zimnej wody i... po 1,5 kg chleba. Trzeba było widzieć uszczęśliwienie biedaków! Za ten ochłap gotowi byliśmy przebaczyć morderstwo tysiąca naszych kolegów. Głód jest cierpieniem strasznym. Tego dnia zasłabnięć i zabójstw było znacznie mniej niż dnia poprzedniego, bo tylko około 150. Za to nocleg z 23 na 24 był czymś nie do opisania.

Do dwóch obór /bydło było ewakuowane/ wpędzono po około 2200 ludzi - było tak ciasno, że z trudnością można było stać. Po 3 dniach uciążliwego marszu i przeważnie bezsennych nocy rozgrywały się wstrząsające sceny o prawo i miejsce spoczynku. Nieludzkie ryki, piski, rżenie duszonych zlewały się w jeden rozpaczliwy głos. Wkrótce powstała taka duszność, upał i brak powietrza, że wszystko zaczęło się dusić. 2200 ludzi w rozpaczliwym wysiłku pchało się do drzwi, by zaczerpnąć powietrza, wytwarzając kłębowisko wzajemnie się tratujących, szarpiących pazurami i zębami zwierząt. To znów pojedyncze i choralne wołanie: "wody"! Inni chcieli podpalić oborę, lecz na szczęście nie mieli ognia.

Szczęśliwym trafem znalazłem się wraz z kilkunastu kolegami na poddaszu obory. Nie byłem objęty ruchami tej masy, sam jednak widok i głosy, jakie dochodziły z dołu, były tak straszne, tak przejmujące, że bliscy byliśmy obłędu. Sceny Dantego to nieudolna wyobraźnia. Naturalnie nocy tej nikt oka nie zmrużył, a rano trupów nawet nie liczone - było ich zbyt dużo.

W ostatnim dniu marszu, jak i w dniach poprzednich, strzały do dobijanych były również liczne; nie zwracano już na to uwagi.

24.I.45 r. o godz. 17, głodni i śmiertelnie znużeni, przyby-

liśmy do swego obozu macierzystego. Czy sądzicie, że przygotowano dla nas choć po kwaterce gorącej wody? Nie. Nie tylko gorącej, ale i zimnej dla nas nie było. Wpędzono nas do będącego w budowie baraku, bez drzwi, okien, podłogi, światła. Tu i ówdzie leżała kupa śniegu lub stała kałuża wody. Tu mamy mieszkać i spać. Na pow. 300 m² - 1000 ludzi, w tym około 100 "prominentów", tj. Niemców i ich "piplów", która to grupa, jako uprzywilejowana, zajmowała niewiele mniej miejsca niż reszta więźniów. Życie w tak wielkim tłumie i na tak małej powierzchni samo przez się jest tak uciążliwe, że bez towarzyszących w obozie "dodatków", jak głód, chłód, bicie i tysiące innych różnych szykan, jest piekłem, które wytrzymują tylko jednostki b. silne.

Najgorsze były noce. Przy najenergiczniejszym biciu i łamaniu kości przez władze baraku /z reguły Niemcy - zbrodniarze/ wszystkich nieszczęśliwych ułożyć się nie dało. Jedni leżeli na drugich. Co chwila wynikały na tym tle kłótnie, bójki i interwencje Niemców, którzy w ten sposób mieli pretekst do zabicia kilku biedaków. Korzyść z tego była podwójna: Niemcom pozostały porcje chleba, a nam trochę więcej miejsca. U dużej ilości ludzi przy tej okazji uległy zmiążdżeniu nosy, uszy, nastąpiły zderzenia skóry z twardzi, złamania kości. Rozbestwiony Niemiec nie patrzył, gdzie stawia swój pełen gwoździ, ciężki but. Po leżących pokotem ludziach biegał jak wściekły, bijąc grubym, ciężkim drągami na prawo i lewo.

Otrzymanie należytą porcji chleba lub zupy w tych warunkach było sztuką nie lada. Różni, silni w łokciach, spryciarze i ludzie bez skrupułów potrafili pobrać i dwa razy, inni po 2-3 dni nie jedli absolutnie nic. Ba, nawet wody nie było, i to nie tylko do napicia się, ale i do umycia. Śmiertelność b. duża. W takich warunkach żyliśmy do 10.II.45 r., tj. do następnej ewakuacji.

10.II.45 r. odgłosy walk rosyjsko-niemieckich słychać było coraz wyraźniej. Orientujemy się, że front przesunął się już na zachód. A może nas zagarną? Pewnej nocy pada rozkaz: "Wszyscy Niemcy i Volksdeutsche, zbiórka przy głównej bramie!" Uciekają! Zapanował radosny nastrój. Niestety, radość mija. Po godzinie Niemcy wracają. Siedzimy dalej. Jednak po kilku godzinach nagle zbiórka i wymarsz na stację kolejową. Jesteśmy zadowoleni, że wyjeżdżamy koleją; przy marszu piechotą zginęlibyśmy wszyscy. Jesteśmy tak wyczerpani, że już po paru godzinach większość padłaby na drodze.

DROGĄ PRZEZ MĘKĘ TRAFIŁEM DO PIEKŁA

Właściwie nie wiem, dlaczego różni publicyści, a niekiedy i historycy, powstanie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Fünfteichen /dzisiejsze Miłoszyce k/Oławy/, filii Gross-Rosen, uparcie wiążą z 1943 ro., a niektórzy podają wyłącznie rok 1944. Hitlerowska machina administracyjna była w 1943 r. wprawdzie jeszcze bardzo sprawna, ale czy naprawdę na tyle, żeby w ciągu jednego roku zdążyła wybudować, obsadzić kadrą i zapełnić więźniami ponad 100 obozów koncentracyjnych - filii grossröseńskich? Wątpliwe. Wątpliwe tym bardziej, że - jak wiadomo - Alfred Krupp już w lutym 1942 r. zapłodnił myśl Hitlera projektem, aby w jakiejś zacisznej okolicy wybudować nowe zakłady zbrojeniowe, sugerując zarazem, by do realizacji tego przedsięwzięcia zaangażować najtańszą siłę roboczą, a więc więźniów obozów koncentracyjnych.

Tego samego 1942 roku, konkretnie 8 sierpnia, w kwaterze Hitlera zapadła decyzja o rozpoczęciu budowy wielkich zakładów zbrojeniowych na terenie dzisiejszego Jelcza k/Oławy. Zainteresowanych bliższymi szczegółami w tej sprawie odsyłam do zeznań w procesie norymberskim Otto Saura, jednego z głównych współpracowników ministra uzbrojenia i amunicji III Rzeszy, Alberta Speera. Wraz z decyzją o budowie zakładów zbrojeniowych postanowiono wybudować w ich pobliżu filię obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, właśnie w Fünfteichen. I jeszcze w tymże 1942 r. ruszyły równoległe dwie budowy - zakładów zbrojeniowych i obozu koncentracyjnego. Byłem tam w owym czasie. Nie pamiętam już, czy był to październik, czy początek listopada, ale w tym mniej więcej okresie przywieziony zostałem z Będzina - via sosnowieckie więzienie - w około 500-osobowej grupie i pod silną eskortą SS, do obozu pracy przymusowej, czyli ZAL w miejscowości noszącej wówczas dwie nazwy: Marktstadt i Laskowitz.

Już następnego dnia podjęliśmy pracę przy wykopywaniu buraków cukrowych na polu, na którym - jak się wkrótce okazało - miały stanąć hale produkcyjne, oraz przy stawianiu baraków, które stanowiły pierwsze elementy późniejszego obozu koncentracyjnego. Nie chcę tu opisywać morderczego tempa 14-godzinnej pracy, bo o Fünfteichen, a nie o Marktstadt-Laskowitz zamierzam mówić. Jeżeli jednak zacząłem swoje wspomnienia niejako rysem historycznym, to tylko dlatego, że historia powstania tej grossröseńskiej filii jest stosunkowo mało znana i nie wiadomo dlaczego omijana przez historyków i publicystów parających się tą tematyką.

Latem lub wczesną jesienią 1943 r. ZAL Marktstadt-Laskowitz zaczął ulegać likwidacji. Znalazłem się w pierwszej kilkusetosobowej grupie więźniów skierowanych do obozu koncentracyjnego Fünfteichen. Była to kilkukilometrowa droga przez mękę do piekła. W bloku Nr 26 królował blokowy Kannengieser, znany sadysta i zarazem złodziej, w którego procesie w 1946 r. przed sądem w Wałbrzychu byłem głównym świadkiem oskarżenia.

Już jako häftling Nr 25584 pracowałem nadal przy budowie zakładów zbrojeniowych. Pamiętam dokładnie, że pierwsza gotowa hala produkcyjna, aczkolwiek nie wiem dlaczego, otrzymała nr 11. W tym samym dniu zaczęto wśród więźniów wyszukiwać specjalistów: ślusarzy, tokarzy, frezerów, kowali itp. Marzyłem o tym, aby dostać się

do pracy w hali produkcyjnej, pod dachem. Tym bardziej, że zapowiedziano, iż "kto będzie pracował u Kruppa, będzie otrzymywał dodatek w postaci 20 dkg chleba oraz zwiększony przydział margaryny i marmolady". Zgłosiłem się i... dostałem od blokowego potężnego kopniaka w podbrzusze, a następnego dnia poszedłem do swojej normalnej pracy. Pracowałem w tym czasie w firmie "August Nietsche - Tiefbaugesellschaft, Berlin-Tempelhof".

Już do końca życia będę pamiętał to przedsiębiorstwo zajmujące się wykonywaniem wykopów na budowie zakładów i układaniem rur. I nie dlatego, że praca była tu mordercza. Ciężka praca fizyczna, aż do utraty sił, była wymagana także w innych przedsiębiorstwach, w których później pracowałem, jak np. w firmie "Betonbau - Grün und Bielfinger" czy też "Schalhorn-Glogau". Ale tu, u Nitschego, więźniowie mieli wyjątkowego obermajstra - Franza Grodemanna z Berlina i majstra Karla Plischke ze Strzegomia. Ten pierwszy lubował się w spychaniu do głębokich wykopów "leniwych" więźniów, a drugi był "łagodniejszy" - namiętnie bił łopatą każdego, który w jego przekonaniu był zbyt powolny. A że ciągle twierdził, iż wszyscy więźniowie są zbyt powolni - zajęcia mu nie brakowało. Grodemanna będę wyjątkowo długo pamiętał z dwóch zwłaszcza powodów. Pierwszy, dotyczy współwięźnia, który od kilku dni pracował razem ze mną. Wiem, że był krawcem z Sosnowca i chyba nazywał się Lewin. Miał wrzody na dwunastnicy. Razem kopaliśmy rów już na głębokości około 4 m. Mój kolega odrzucał właśnie piasek na powierzchnię, który ja łopatą wyrzucałem z drugiego rusztowania wewnątrz wykopu. W pewnym momencie Lewin przykucnął, bo chwycił go ból. Nie wiem, ekąd nagle pojawił się obermajster. Bez słowa nogą mocno pchnął więźnia, który z krzykiem spadł na dno wykopu, uderzając po drodze o belki wspierające deski na ścianach. Pracujący na samym dole więzień ledwie zdążył odskoczyć. Zanim pomyśleliśmy, co zrobić, Grodemann wrzasnął: "raus". Wyszliśmy z wykopu. Obermajster kazał nam nosić deski do umocowania ścian, a sam poszedł w kierunku stojących opodal dwóch esesmanów, którzy zajęcia nie widzieli. Po chwili rozmowy wrócił z nimi na miejsce zdarzenia. Cała trójka nachyliła się nad wykopem, a jeden z esesmanów zaczął głośno wołać: "hej, ty, wstawaj! Kiedy po kilku okrzykach więzień nie reagował, esesman chwycił leżący na deskach krótki kilof i cisnął go do wykopu. Kiedy i tym razem więzień nie poruszył się, przywołano nas, czterech więźniów, i polecono Lewina wynieść na wierzch. Zrobiliśmy to wyjątkowo szybko. Nasz kolega nie dawał oznak życia. Ułożyliśmy go - jak nam kazano - za przymą piasku. Po skończonej pracy byliśmy zdziwieni, że polecono nam nieść zwłoki do obozu. Wcześniej bowiem tych, których zamęczono lub zabito na terenie budowy, grzebano gdziekolwiek, byle głęboko. Tyle że wcześniej esesman, w obecności innego Niemca z danej firmy, zrywał więźniowi numer i sporządzał notatkę. Tym razem było inaczej.

Następnego dnia Franz Grodemann był jakby inny, łaskawszy. Nosilem właśnie deski z drugim kolegą, gdy kiwnął na mnie palcem. Zerwałem czapkę z głowy i podbiegłem do obermajstra, stając przed nim na baczność. Zapytał mnie, czy wiem, gdzie mieści się jego biuro. Gdy odpowiedziałem twierdząco, polecił mi zameldować się w połowej kuźni, obok biura. Pracował tam wyjątkowo przyzwoity Niemiec spod Berlina, Emil Hoppe. Przez 5 dni pomagałem mu w ostrzeniu stępionych kilofów, służących do gładzenia ścian w wykopie. Praca lekka, pod prowizorycznym dachem i bez nadzoru esesmanów. I byłoby nadal wszystko dobrze, gdyby nie skusił mnie

chleb z margaryną posypaną cukrem - przysmak psa obermajstra. Wprawdzie już na drugi dzień pracy w kuźni próbowałem podbierać psu żarcie, ale bez skutku. Udało mi się to w trzecim i w czwartym dniu, a w piątym Franz Grodemann przyłapał mnie na kradzieży. Zbity i skopany, z rozbitą wargą, wracałem do pracy przy wykopach, ale obermajster i tak okazał mi "wielką łaskę", nie meldując o kradzieży służbie obozowej ani nie wtrącając mnie później do wykopu. I to jest drugi powód nie pozwalający mi zapomnieć Franza Grodemanna.

Każdy były więzień Fünfteichen przyzna mi, że praca na budowie zakładów zbrojeniowych była daleko cięższa i niebezpieczna niż wewnątrz hal produkcyjnych. Wewnątrz więzień czuł się bardziej bezpieczny. Przede wszystkim był pod nadzorem cywilnym Niemców, co wcale nie znaczy, iż nie był kontrolowany przez służbę SS i że nie był narażony na szykany. Ale miał dach nad głową, ciepłej, konkretne zajęcie. Można śmiało powiedzieć, że więzień zatrudniony u Kruppa był w pracy bezpieczniejszy niż na terenie obozu. Na budowie zaś żyło się w ciągłym strachu, niemal bez przerwy pod podwójnym nadzorem: służby SS i niemieckich majstrów, których większość należała do SA. Tu często padało się z wycieńczenia i zimna, tu esesmani urządzali polowania na osłabionych więźniów, których dobijano, tu nie wolno było zamykać drzwi w polowych wychodkach podczas załatwiania własnej potrzeby, nie narażając się na strzał poprzez drzwi. Gdy wracało się po pracy do obozu w mokrym ubraniu i butach - to rano w tym samym stawało się na placu apelowym. Wewnątrz hal produkcyjnych nie było prawie możliwości kradzieży papierowych worków po cemencie. Na budowie zaś - na każdym kroku. Ciągłe kusilo, by ukraść, aby z worka, po wycięciu odpowiednich dziur, zrobić sobie dodatkową koszulę-ocieplacz. Bo więźniowie pracujący na zewnątrz przez większą część roku byli zziębnięci. Kradziono więc worki mimo groźby śmierci, a groźba wielokrotnie się spełniała, gdyż kradzież worka traktowano jako sabotaż na szkodę III Rzeszy.

Jeśli można mówić o ilościowo równej śmiertelności wśród więźniów Fünfteichen, wynikłej z warunków panujących wewnątrz obozu - to jeśli weźmie się pod uwagę warunki pracy poza obozem, należy stwierdzić, że ta śmiertelność była dużo wyższa wśród więźniów zatrudnionych przy budowie zakładów zbrojeniowych niż bezpośrednio przy produkcji. Jest to zupełnie zrozumiałe, nawet i z tego powodu, że większość więźniów, przynajmniej początkowo, pracowała przy wznoszeniu hal produkcyjnych.

Powiedziałem na początku, iż z ZAL Markstadt-Laskowitz, "idąc drogą przez mękę trafiłem do piekła". Tak, Fünfteichen było piekłem na ziemi. Więc kiedy jesienią 1944 r. znalazłem się w 300-osobowej grupie względnie młodych i silnych więźniów, przeznaczonych do przeniesienia do innego obozu, konkretnie do Walimia, wydawało mi się, że wygrałem szczęśliwy los. Tymczasem okazało się, że prawdziwe piekło miałem dopiero poznać. Ale to już zupełnie inna historia, aczkolwiek także w filii Gross-Rosen.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.19

PAMIĘTAM...

W marcu 1944 roku zostałem aresztowany podczas pełnienia funkcji komendanta placówki AK. Początkowo przebywałem w gestapo w Tomaszowie Mazowieckim na tzw. Zapiecku, skąd po ukończonym "śledztwie" przekazano mnie do więzienia, znajdującego się przy ul. Św. Antoniego.

Wkrótce zostałem przewieziony do obozu koncentracyjnego. Transport nasz składał się z około 1000 osób. Konwojentami byli Ukraińcy-esesmani, a ich stosunek do nas można bez przesady określić jako zwierzęcy. Bili nas na każdym kroku, rabując przy tym co lepsze rzeczy bo, jak mówili, tam, dokąd jedziemy, nic nam już nie będzie potrzebne. Dobre buty czy inną wartościową część garderoby musieliśmy ponadto oddawać z dobrą miną, w przeciwnym bowiem wypadku następowało kopanie i bicie po twarzy. Wagony towarowe, którymi nas przewożono, wysepiane były niegaszonym wapnem, aby w razie ucieczki łatwo było nas rozpoznać. Po dosyć długo trwającej podróży transport nasz zatrzymał się na małej stacji Gross-Rosen.

Oszabieni podróżą oraz wycieńczeni z głodu i pragnienia, popędzani rykiem SS-manów, musieliśmy szybko wyskakiwać z wagonów na niską rampę. Z uwagi na związane do tyłu ręce, prawie każdy z nas walił się na twarz, rozbijając ją do krwi. Na tych zaś, którzy zrećznie wyskoczyli z wagonu, nie robiąc sobie krzywdy, sypał się grad razów bykowcami. Wyładowano około 600 osób, sześciu więźniów zmarło w transporcie, reszta pojechała dalej w nieznaną.

Po uformowaniu kolumny, ruszyliśmy piątkami w kierunku pobliskiej wsi, gdzie przyjęto nas obraźliwymi wyzwiskami. Po około trzech kilometrach marszu dotarliśmy do obozu, doznając już przy bramie sadystycznego przyjęcia. Oczekujący wewnątrz SS-mani tłukli nas, czym tylko się dało, w wyniku czego prawie wszyscy mieliśmy ślady tego "powitania" w postaci ran, guzów i siniaków. Po tej czynności nastąpiło krótkie regulaminowe przyjęcie na placu apelowym i przygotowanie się do rewizji. W tym celu zmuszeni byliśmy rozebrać się do naga, a dwie grupy "rewidentów" przystąpiły do akcji. Pierwsza kontrolowała jamę ustną delikwenta, druga grupa sprawdzała odbytnicę. Do tego celu służyły ustawione na placu apelowym dwie żelazne beczki. Więzień musiał szybko i sprawnie podbiec, a następnie przewiesić się przez beczkę, twarzą ku ziemi. Po kontroli odbiegał na bok, a jego miejsce zajmował następny więzień.

Dla mnie osobiście kontrola ta wypadła niezbyt pomyślnie. Po niedawnym śledztwie w tomaszowskim gestapo ciało moje było prawie całe sine. Prócz tego wywiązał się początek gangreny obu ud, przeto nie byłem w stanie szybko i sprawnie zająć "honorowego" miejsca na beczce, jak to czynili moi młodzi i mniej skatowani koledzy. Dowlokłem się do beczki i ułożyłem twarzą w dół. Krótka kontrola i w wyniku silnego kopniaka momentalnie znalazłem się na ziemi twarzą do góry. Siarczysty kopniak był karą za niesprawne wykonanie rozkazu. Wreszcie pobierałem się i przeszedłem do grupy zrewidowanych.

Następnie skierowano nas na blok 9 tzw. Zugangsblock, gdzie otrzymaliśmy paszaki i numer więźnia, który każdy z nas musiał

sobie przyszyć na bluzie po lewej stronie klatki piersiowej i na prawej nogawce spodni, tak aby był widoczny. Podczas mego trzydniowego pobytu w tym bloku, lekarz /?/ SS-man zakwalifikował pięciu z nas jako chorych i skierował do rewiru. Dostałem się na szóstkę, na blok chirurgiczny.

Jeszcze w bloku 9, przed wieczornym apelem, otrzymałem pajdkę chleba oraz porcję margaryny. W bloku chirurgicznym otrzymałem to samo. Zadowolony z dodatkowej żywności wierzyłem, że będzie mi tu znośnie; nie znałem jeszcze wtedy warunków obozowych. Tymczasem zainteresował się moją osobą rewirkapo, pełniący zarazem funkcję blockälteetera, Kurt Wilbli. Wywołał on mój numer i spytał, dlaczego wziąłem chleb w rewirze, skoro już dzisiaj otrzymałem swoją porcję na poprzednim bloku. Początkowo próbowałem tłumaczyć, że w Gross-Rosen jestem zaledwie trzeci dzień i sądziłem, że jest to dodatek dla chorych. Widząc jednak, że kapo ryczy na mnie jak zwierzę, szybko połknąłem otrzymaną porcję, aby jej nie utracić, bo i tak kara mnie nie minie.

Wówczas Wilbli rozkazał mi uklęknąć na podłodze i oprzeć się o tył pryczy. Nagi, bo tak przebywali więźniowie w rewirze, uklęknąłem, a kapo żołnierskim butem kopał mnie klęczącego w brzuch i podbrzusze aż ustami pocięła mi krew. Wówczas nakazał zabrać mnie do umywalni, gdzie skierowano na mnie strumień wody z gumowego węża, co spowodowało omdlenie. Ostatkiem świadomości pomyślałem przez moment, że to już koniec, choć jak się później okazało, życie kołatało się jeszcze we mnie. Następnego dnia dostałem zapalenia płuc, a to, że przetrwałem, zawdzięczam jedynie wyjątkowej opiece doktora Kosibowicza, lekarza na VI rewirze, również więźnia politycznego z Będzina. Po dwóch miesiącach prymitywnego leczenia, bo takie tylko było dla nas dostępne, wyszedłem "zmużnianiały" i nadal chory.

Przydzielono mnie na blok 18. Grosrozeniacy wiedzą, że pobyt w tym bloku należał do b. trudnych. Był to blok przeznaczony dla Niemców. Przebywali tam w większości "zieloni", czyli kryminaliści. Na każdej z dwóch sztab było po sześciu Polaków. Do naszych obowiązków należało ścielenie Niemcom łóżek, utrzymywanie czystości w bloku i wszelkie inne posługi. Czynności te wykonywaliśmy w większości obok naszych codziennych zajęć. Niemcy szykanowali nas w różny sposób, np. do ubikacji wolno nam było wejść tylko wtedy, gdy robiliśmy tam porządek, a do sztaby tylko wtedy, gdy trzeba było iść spać. Wieczorem musieliśmy wszystkim Niemcom czyścić trepy. Mała usterka w pościeleniu łóżka, źle oczyszczony trop lub znalezione przez blokowego na podłodze najmniejsza choćby słomka, powodowało bicie nas po twarzy, kopniaki lub karne ćwiczenia. Niemcy nienawidzili nas podwójnie: za to, że jesteśmy Polakami, a w dodatku więźniami politycznymi. Takie były moje warunki mieszkalne. A jak przedstawiała się praca?

Przydzielony zostałem do tzw. Stehkommando. W większości przebywali w nim słabsi i chorzy więźniowie, których zadaniem było stać bezczynnie przez 10-12 godzin, bez chwili wytchnienia. Pilnowali nas funkcyjni i gdy tylko ktoś usiadł, zaraz dostawał baty. Z okresu "pracy" w Stehkommando przypominam sobie zdarzenie, którego byłem naocznym świadkiem. Pewnego dnia przywieziono do obozu ośmiu Żydów i umieszczono na 8. bloku. Ponieważ w tym czasie w całym Gross-Rosen nie było w ogóle Żydów /przechodzili tylko przez przyjęcie i kierowani byli do Aussenkommand/, przeto wzbudzili ogromne zainteresowanie wśród więźniów. Kim byli i dlaczego przywieziono ich do Gross-Rosen, nie dowiedziałem się. Wkrótce wypro-

wadzono ich przed blok i kazano im parami boksować się. Jeden z SS-manów krótko przyglądał się walce i przerwał ją, oznajmiając delikwentom, że jeśli nie będą walczyć naprawdę, to on im pokaże, jak należy się bić. Nieszczęśnicy, obawiając się utracić życie, poczuli bardziej serię wykonywać rozkaz. Wynik był smutny. Połowa z walczących legła na ziemi półprzytomna. SS-mani, rycząc z uciechy, utworzyli z trzymających się jeszcze na nogach nowe pary i nakazali dalszą walkę. Ostatecznie na placu boju pozostał jeden tylko Żyd. Po skończonej "zabawie" wszystkich walczących zabrano, prawdopodobnie do krematorium.

Dzisiaj jest to Jelcz

W sierpniu 1944 roku przeniesiony zostałem z Gross-Rosen do podobozu w Fünfteichen. Zostałem zatrudniony w zakładach Kruppa, zwanych Bertha-Werke. Były one oddalone od obozu o około 2-5 - 3,0 km. Więźniowie pracowali na dwie zmiany-szycy przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny. Mnie przydzielono do grupy budowlano-porządkowej, pracującej w zasadzie tylko na dziennej zmianie. Do naszych obowiązków należało obsiewanie trawą schronów przeciwlotniczych, wyładunek cegły, cementu i innych materiałów budowlanych.

Pewnego dnia, rozładując materiały w nowej hali produkcyjnej, zobaczyłem w ażurowych skrzyniach nowe maszyny, tzw. obrabiarki, na których można było odczytać "Made in USA". Wtedy załamłem się całkowicie. Nie wierzyłem, by w warunkach amerykańskich dostaw dla Niemców można było przetrzymać piekło obozowe. Jako Haftling z tzw. Postsperry /areszt paczkowy/ ważyłem zaledwie 41 kg przy wzroście 186 cm. Od marca do września, tj. w ciągu pół roku, utraciłem 45 kg wagi.

W obozie Fünfteichen była duża ilość Żydów, przeważnie z Polski, Węgier i Rumunii. Szczególnie utkwił w mej pamięci polski Żyd, ponoć syn zamożnego współwłaściciela jednej z kopalń na Górnym Śląsku. Jako oberkapo znany był na terenie fabryki ze swego okrucieństwa. Był postrachem wszystkich więźniów, na jego widok miało się śmierć w oczach. Mimo niskiego wzrostu bił bardzo silnie. Pewnego dnia tenże oberkapo uciekł. Przypuszczam, że było to "posmarowane" z zewnątrz dużą ilością złota i innych kosztowności. W pogodny, jesienny wieczór 1944 roku miał on odebrać jak zwykle raport od poszczególnych kapów i forarbeiterów o stanie liczbowym komand roboczych przed opuszczeniem terenu fabryki i udaniem się do obozu w Fünfteichen. Ceremonia ta nie mogła się odbyć, ponieważ, jak stwierdził komendant konwoju SS, oberkapo gdzieś się zasztył. Po przeszukaniu terenu fabryki nie odnaleziono go - zniknął w sobie tylko wiadomy sposób. W odwet za tę ucieczkę zastosowano wobec nas karne ćwiczenia: padnij, powstań, żabka itd. Represje te jednak nie pomogły i oberkapo nie odnalazł się. Jak się później okazało, wyjechał z terenu fabryki samochodem osobowym, w towarzystwie oficerów i prawdopodobnie przebrany za jednego z nich. Rekwizytem przypominającym nam tego kata było jego ubranie znalezione w jednym ze schronów przeciwlotniczych. Były to prawie nowe pasiaki ze starannie wyszytym niskim numerem, którego jednak nie zapamiętałem.

Następnie pracowałem w komando, którego zadaniem było grodzenie drogi prowadzącej z obozu do zakładów Bertha-Werke. Była to dla nas bardzo ciężka praca, szczególnie wyczerpujące stało się przenoszenie bębnow drutu kolczastego. Dozór popędzał nas stale z uwagi na pilność robót, związanych z koniecznością zabezpieczenia trasy przemarszu do pracy i z powrotem. Po kilku dniach zach-

rowałem na podwójną flegmonę lewej nogi, wobec czego przeniesiono mnie z bloku 36 na rewir, gdzie przeprowadzono mi operację.

Śmiertelność wśród więźniów była bardzo duża, spowodowana między innymi skandalicznym stanem sanitarnym obozu. Panowały tu różne choroby z powodu totalnej wewzawicy. W Gross-Rosen dwa razy w tygodniu przeprowadzano przegląd bielizny i nie pamiętam wypadku, aby u więźnia znaleziono wesz. W Fünfteichen była ich cała masa, a ponadto było wszędzie brudno. Kąpiele, najczęściej pod zimną wodą, nie dawały pozytywnych rezultatów, a długie wyczekiwania w kolejce powodowały masowe zapalenia płuc i dużą śmiertelność z tego powodu. Tak zwane odkażanie bielizny, trwające zaledwie kilka minut podczas kąpieli więźnia, nic nie dawało - bielizna i odzież zdążyły w tym czasie ledwie się podgrzać.

W styczniu 1945 roku przebywałem w dalszym ciągu w rewirze, niezdolny do żadnego ruchu, z otwartymi ranami po drugiej operacji podwójnej flegmony prawej nogi i z wysoką gorączką. Przeprowadzano wtedy ścisłą selekcję wszystkich chorych, z których 80 około 50 ciężko chorych, wśród nich byłem i ja, spędzono na jeden blok rewirowy. Nie orientowaliśmy się, o co chodzi, ale wkrótce dowiedziałem się, że obóz będzie likwidowany, rzekomo ze względu na zakończenie prac w fabryce. Wszyscy więźniowie mają iść do macierzystego obozu w Gross-Rosen, a ciężko chorych miały zabrać samochody. Przez dwa dni nie otrzymaliśmy żadnego pożywienia.

Jak się później okazało, obóz był całkowicie ewakuowany, z wyjątkiem nas ciężko chorych i jednego wartownika z volketurmu, który pilnował całości. Nie mieliśmy już żadnego wyjścia. Kto tylko był w stanie, zwlekał się z pryczy i szedł do kuchni szukać pożywienia. W magazynie kuchennym znaleźliśmy wiadro marmelady i kilka kilogramów kaszy manny. Wszystko to podzieliliśmy równo na pięćdziesiąciu chorych. Przy plądrowaniu magazynów SS znaleźliśmy też nowe pasyaki, a w kantynie trochę spleśniałego chleba i tytoń.

W międzyczasie zmarło kilku ludzi, toteż wynieśliśmy ich zwłoki przed rewir. Gdy to zobaczył nasz strażnik, kazał nam przenieść zwłoki za druty, gdzie przy zagajniku, w wykopanym już dole, znajdowało się wiele trupów, całkiem nagich. Swoich zmarłych umieściliśmy w tej mogile, pozostawiając ją z braku sił nie zasypaną. Po powrocie do rewiru stwierdziliśmy, że naszego strażnika już nie ma. Zwyczajnie uciekł. W tej sytuacji wielu z nas zastanawiało się, co robić, wszak już byliśmy wolni. Czy wyjść poza bramę obozu i cieszyć się wolnością jak dzieci najpiękniejszą zabawką, czy pozostać nadal na rewirze w oczekiwaniu na pomoc z zewnątrz. Emocja i radość z faktu przeżycia obozowego koszmaru skłaniały nas do wyjścia naprzeciw wolności, rozrządek natomiast nakazywał nam pozostać jeszcze za drutami ze względu na brak sił.

Gdy w dniu następnym zobaczyliśmy wchodzących na teren obozu żołnierzy radzieckich z grupy zwiadowczej, wiwatom i radości nie było końca. Nasi wyzwoliciele udzielili nam pierwszej niezbędnej pomocy, dzieląc się z nami wszystkim, co mieli przy sobie.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.14

O RUCHU OPORU W FÜNFTEICHEN

Transport kolejowy do obozu Gross-Rosen liczył na st. kol. Radom ok. 30 wagonów towarowych okratowanych, w tym "więźniarka", specjalny wagon do przewożenia więźniów. Załadowano mnie 17 maja 1944 r. do tej właśnie "więźniarki", w której jechało już z innej stacji, prawdopodobnie z Dębłina, 5 wyższych oficerów radzieckich w mundurach. Do Gross-Rosen dojechaliśmy 20 maja 1944 r. Było nas w tym transporcie ok. 1500 więźniów. Na ulicach miasteczka nie było ani jednego człowieka; mieszkańcy przyglądali się nam z ukrycia, zza firanek w oknach.

W samej centrali obozu Gross-Rosen przebywałem tylko tydzień, pracując w kamieniołomach. Korzystając z ogłoszonego werbunku do fabryki, podałem się za ślusarza i ok. 27 maja wyjechałem na komando do Fünfteichen, gdzie pozostałem do 27 stycznia 1945 r. /może do 25 stycznia - nie pamiętam dokładnie/. W centrali Gross-Rosen spotkałem się z kilkoma znajomymi z konspiracji, w tym: z Włodzimierzem Chojnackim z Garbatki k. Radomia, studentem medycyny, który po 3 latach pobytu w Oświęcimiu został tu przeniesiony, na tzw. rewir, jako pielęgniarz. Po powrocie z obozu uzyskał w ciągu roku dyplom lekarza w Krakowie. Ze Sławkiem Łuczynem, synem fotografa z Garbatki k. Radomia, który później był również ze mną w Fünfteichen. Był to chłopiec w wieku 19 lat. Z Pawłem Morgaźło, z którym w roku 1939 wyruszałem na front w składzie 9 pp leg. Zamość, a który niestety teraz pełnił w obozie funkcję blokowego na bloku tzw. Gamli /inwalidów/ i znany był jako "krwawy Paul". Mordował bowiem własnoręcznie więźniów, w tym również mojego byłego dowódcę z 9 pp leg. Zamość, mjr. Fieła. Ponadto zetknąłem się z Budulekim /imienia nie pamiętam/, późniejszym prezydentem miasta Radom. Z jego siostrą Ireną Budulską przebywałem w więzieniu gestapo w Radomiu /została zesłana razem z naszym transportem i wywieziona 17 maja 1944 do Rawensbrück/. Natomiast w Fünfteichen byłem ze Zbigniewem Szczepaniakiem /lub Szczepańskim/ i z wspomnianym wyżej Sławkiem Łuczynem z Garbatki. Innych więźniów znałem tylko z imion. W październiku 1944 poznałem przez naszą obozową konspirację zorganizowaną przez pułkownika Hynka, słynnego przed wojną baloniarza. Przyjechał transportem "zugangów" z Montelupich, w Krakowie nosił trupy z rewiru/. Nigdy nie przyjął żadnej pomocy od współwięźniów. Był bardzo ambitny. Przez niego próbowałem listownie zawiadomić rodzinę, gdzie jestem, gdyż sam, mając tzw. postspere, nie mogłem ani wysyłać listów, ani otrzymywać paczek. Nie pamiętam dokładnie numeru bloku w Fünfteichen ani nazwiska blokowego. My nazywaliśmy go "Ferdynand". Pamiętam jednak dokładnie jego wygląd: tęgi, opasły Niemiec o czerwonej twarzy, z usposobienia choleryk, znany w obozie pederasta. W złości zabijał więźniów. Na sąsiednich blokach byli Polak Nowakowski z Radomia i Niemiec z zielonym winklem, znany u nas "Al Capone", najbardziej ceniony przez esesmanów.

W Fünfteichen działała skutecznie organizacja podziemna, do której od początku należałem. Zadaniem jej było zdobywanie wiadomości frontowych i podtrzymywanie na duchu załamujących się więźniów. Jak wiadomo, w obozie panowało wieczne milczenie, które działało deprymująco nawet na silnych psychicznie. Postanowiliśmy

i na tym odcinku zadziałać. Z mojej inicjatywy w dniu 15 sierpnia, a więc w Święto Wojska Polskiego, wyszliśmy na apel poranny o kilkanaście minut wcześniej i po raz pierwszy zaśpiewaliśmy wojskową pieśń modlitewną "Pod Twoją Obroną". Już następnego dnia poszły naszym śladem dwa najbliższe bloki. Śpiew było słychać w całym obozie, a mimo to, ku naszemu zdziwieniu, nikt z Niemców nie zareagował, natomiast nastrój w całym obozie wyraźnie się poprawił. Pod koniec tygodnia już prawie wszystkie bloki również śpiewały na apelu wieczornym "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Wreszcie zainteresowali się tym esesmani. Wyczytano trzy numery na apelu porannym, w tym również mój Nr 36057, oświadczając, że zostajemy na bloku a potem jedziemy do krematorium do Gross-Rosen. Może to dziwne, ale wyszedłem z szeregu raczej z radosnym wyrazem twarzy i wtedy podbiegł do mnie esesman i, kopnąwszy kilka razy, kazał wstąpić do szeregu. Na bloku wieczorem otrzymałem od blokowego 10 pałek i kilka kopniaków, po których chorowałem.

W Günfteichen pracowałem w zakładach Kruppa "Bertha Werke" jako ślusarz na montażu armat od ok. 25 maja 1944 do 27 sierpnia 1945 r., w tym pobyt na rewirze od 26 grudnia 1944 do ok. 27 stycznia 1945 r. Jak mi się wydaje, na hali fabrycznej, jednej z kilku w zakładach Kruppa, pracowało wraz ze mną około 2000 heftlingów i około 500 pracowników cywilnych. Z obozu do fabryki było około 3 km drogi. Z pobytu w fabryce zapamiętałem wizytę Kruppa /chyba Alfreda/ w otoczeniu licznej generalicji. Krupp był wtedy w białym mundurze. Od tego dnia dostawaliśmy pajdkę chleba więcej, a także wydano nam czapki bawełniane - pilotki zamiast obozowych beretów. Na moim sztyfie-montażu pracowało najwięcej oficerów radzieckich. Byli oni prawdopodobnie w kontakcie z wywiadem, Niemcami nadzorującymi pracę i chyba przekonani lewicowych, gdyż przez nich otrzymywaliśmy zawsze wiadomości frontowe, i to prawdziwe. Na naszym sztyfie dzięki przyjaznym stosunkom rosyjskich heftlingów z majstrem, który według mnie musiał być komunistą, oficerowie radzieccy otrzymywali w drodze wyjątku na fabryce zupę, pozostałą w kotłach pracowników cywilnych.

Pracując w konspiracji obozowej byłem jednym z organizatorów ucieczek głównie z fabryki, a nie z obozu. Ucieczki organizowane były dla indywidualnych więźniów lub dla grup 3-4 osobowych. Do pewnego czasu udawały się ucieczki w załadowanych wiórami stalowymi pociągach, w odkrytych wagonach. Wióry ładowali ochotniczy więźniowie, a nadzorowali esesmani. Korzystając z ich nieuwagi, więźniowie wskakiwali na wagony, a pozostali szybko zakrywali ich wiórami. Esesmani sprawdzali wagony przed wyjazdem z hali tylko z wierzchu. Dzięki temu udało się uciec kilkunastu więźniom politycznym /wyłącznie/. Ta najłatwiejsza droga ucieczki została jednak wkrótce wykryta. Inne ucieczki, pojedyncze, to wyjścia kanałami CO /miały prefabrykowane płyty wierzchnie/ głównie w czasie alarmów lotniczych. Przez tych uciekinierów, którym udało się zbiec na początku wagonami, nawiązaliśmy kontakt z Polakami we Wrocławiu. W miesiąc potem dowiedzieliśmy się od pracowników cywilnych, że gestapo wrocławskie szaleje, gdyż ktoś podszył się pod ich "szyld" i samochodem wjechał w mundurze oficera gestapo na teren fabryki, przedstawiając na piśmie żądanie wydania 4 więźniów /konkretne nazwiska/, rzekomo na przesłuchanie. W tej sprawie dochodzenia na naszej hali jednak nie było, przynajmniej wśród więźniów.

Do ucieczek nieudanych należały głównie desperackie ucieczki z obozu przez druty lub w czasie przemarszu do fabryki. Z reguły

kończyły się one zastrzeleniem uciekającego. Trupa rozbierano potem do naga, wieszano na bramie obozu z kartką na piersiach "ich bin wieder da" i kazano nam przed nim defilować przy dźwiękach orkiestry obozowej.

Od ok. 2-3 sierpnia nikt nie odważył się w obozie nie tylko zaśpiewać, ale nawet głośno mówić. Wreszcie niespodziewanie 24 grudnia rano Niemcy sami przynieśli na nasz blok choinkę. Myśleliśmy, że to prowokacja, ale sprawdziliśmy, że na innych blokach też były choinki. W tym dniu pracowaliśmy w fabryce na nocnej zmianie. Zebraliśmy się więc pod choinkę /wszystkie narodowości/ na godzinę przed apelem wieczornym i rozpoczęliśmy śpiewać kolędy; najpierw Polacy, potem inni i wreszcie Niemcy zaśpiewali swoją "Stille Nacht". Blokowy był niemal kompletnie pijany i śpiewał najgłośniej.

Gdy mieliśmy już iść do pracy, ktoś z nas zaczął, a wszyscy ryknęli pełną pierśią "Jeszcze Polska nie zginęła". Nikt z Niemców nie zareagował, choć wiedzieli, że wszyscy Polacy, śpiewając, płaczą. Ktoś jednak doniósł o tym do SS. W pierwszy dzień po świętach przyszło ich dwóch na nasz blok. Blokowy zrobił zbiórkę całego bloku, na środku sali postawił taboret, kazał mi się położyć i liczyć uderzenia pałką do 25 razy. Jak się później dowiedziałem od kolegów, doliczyłem do 17 i zemdlałem, a mimo to blokowy bił mnie dalej. Potem, rozebranego do naga, bez znaku życia, wywieziono mnie na podwórze przy rewirze i wyniesiono na stos trupów oczekujących na transport do krematorium. Rano przyszli leichentregerzy, w większości Żydzi - lekarze węgierscy z ostatniego zugangu oraz kilku innych, a wśród nich również pułkownik Hynek, i zaczęli ładować trupy na samochód ciężarowy. Hynek, widząc, że ja żyję, porozmawiał z lekarzem węgierskim i razem wynieśli mnie na rewir, na salę tzw. Lungenentzündung /zapalenie płuc/. Tu ten sam lekarz zrobił mi autochemoterapię, czyli przestrzyknięcie mojej własnej krwi, i tak przeleżałem do ok. 21 stycznia 1945 r., kiedy to dowiedzieliśmy się, że obóz będzie ewakuowany i że chorzy z rewiru mogą udać się też na ewakuację. Nikt jednak nie poszedł, gdyż to byli już dogorywający więźniowie. Przez kilka następnych dni dawano nam tylko raz dziennie zupę, aż wreszcie ok. 25 stycznia zjawili się w rewirze żandarmi obwieszeni granatami. Baliśmy się, że to będzie likwidacja chorych, ale zażądali tylko, by ci, którzy mogą chodzić, zeszli z łóżek do grzebania w śniegu trupów, których stosy leżały przed blokiem rewiru, gdyż nie odwożono ich do krematorium obozu Gross-Rosen od kilku dni.

Następnego dnia zapanowała w obozie zupełna cisza, ale nikt też nie podał nam już nawet zupy. Trzech z nas wyszło na rekonesans. Doszliśmy aż do kuchni SS, ale i tam nikogo nie było. Wróciliśmy na rewir ze skrzynką marmolady i kilkoma kartoflami, proponując kolegom opuszczenie obozu, gdyż każdej chwili spodziewać się można było powrotu Niemców. Okazało się, że tylko siedmiu może chodzić. Obwijając nogi szmatami /buty odebrano nam przy wejściu na rewir/, wyszliśmy poza druty w głęboki śnieg i wlekliśmy się tak ok. 8 godzin. Nagle usłyszeliśmy serię pocisków nad głowami. Około 200 m od nas stali żołnierze w papachach i wołali po rosyjsku, żeby podejść bliżej. Dowiedziawszy się, że wśród nas nie ma ani jednego ruskiego, wzięli nas za szpiegów niemieckich i posłali pod ściankę. Po dłuższym tłumaczeniu zamknięto nas w piwnicy baraku i postawiono wartownika. Dzięki następującej nocy udało nam się uciec z piwnicy i teraz dopiero zorientowaliśmy się, że idziemy pod front. Unikaliśmy następnych spotkań z żołnierzami,

idąc polami i lasami na Nemslau-Kreuzburg-Rosenberg. Z Nemslau /chyba nasz Namysłów/ szło już tylko nas dwóch w kierunku na Częstochowę. Przy ul. Wieluńskiej, przed wejściem do Częstochowy, zostaliśmy aresztowani, gdyż byliśmy chyba pierwszymi więźniami wracającymi z obozu. Zwolnienie po jednym dniu zawdzięczam koledze, który przed aresztowaniem przez gestapo mieszkał w Częstochowie i którego rodzina udowodniła, że był w Gross-Rosen więźniem politycznym.

2 lutego 1945 r., korzystając z pociągów towarowych, przyjechałem do Radomia do rodziny. Chorowałem potem prawie cały rok.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.20

DZIEŃ PO DNIU

Do transportu ja i więźniowie z całego oddziału VII i innych oddziałów wyprowadzeni zostaliśmy z cel na korytarz więzienia, ustawieni piątkami i powiązani drutami. Nad ranem 29 marca 1944 r. załadowano nas na samochody ciężarowe i przewieziono na dworzec kolejowy Warszawa Zachodnia. Cała trasa od więzienia do dworca kolejowego, była obstawiona esesmanami z psami. Załadowano nas do bydłych wagonów towarowych i po kilku dniach dojechaliśmy do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. W obozie tym, po przebraniu w pasiaki i nadaniu mi numeru obozowego - czerwony trójkąt z literą P nr 26006 - zostałem umieszczony w bloku przejściowym. Numeru bloku nie pamiętam. Na drugi dzień po apelu zabrano nas do pracy w kamieniołomach. Byłem w grupie roboczej, której kapo był Niemiec - kryminalista. Więźniowie nazwali go "Marynarz"; był on okrutnym bandytą w stosunku do swoich "podopiecznych". W krótkim czasie z zakładów Kruppa przyjechali majstrowie w celu naboru zdrowych więźniów do pracy. Ja również zgłosiłem się i zostałem zarejestrowany.

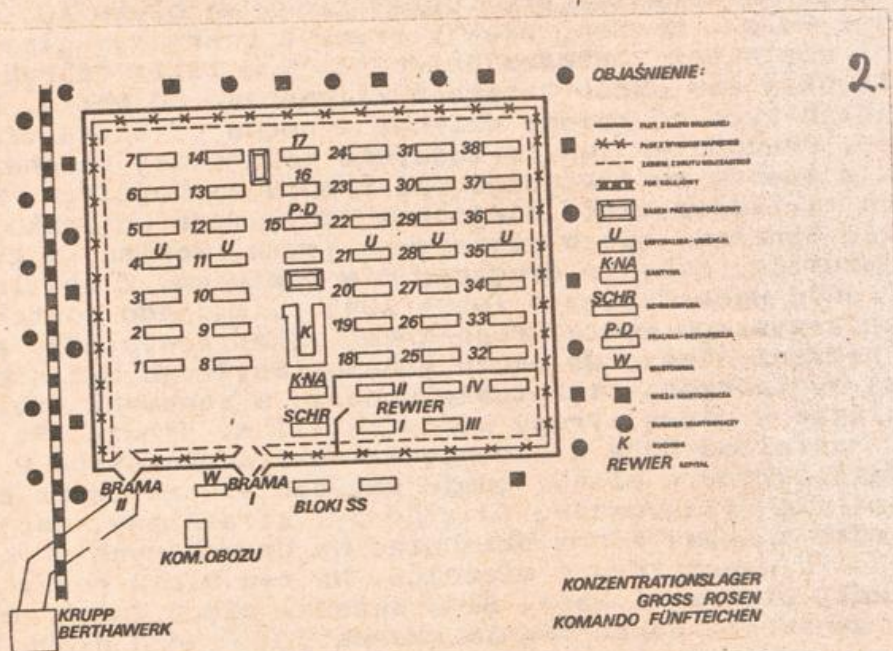
Po przyszykowaniu transportu z dużą grupą więźniów dowieziono nas do komanda obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w miejscowości Fünftaischen. Tam zostałem umieszczony na bloku 10; gdzie blokowym był Polak, Marian, niski, krępy z ochrypłym głosem. Wraz z innymi więźniami zostałem zatrudniony w filii fabryki Kruppa, która mieściła się około czterech kilometrów od obozu. Praca w tych zakładach była na zmianyienne i nocne po dwanaście godzin na zmianę. Pracowałem tam na maszynie tokarskiej do chwili ewakuacji obozu z powodu zbliżającego się frontu wschodniego. W czasie pracy w tych zakładach miała miejsce w nocy udana ucieczka, w której uciekło kanałami dwóch więźniów - jeden, Marian, z którym się przyjaźniłem, imienia drugiego nie pamiętam. Z chwilą zbliżania się frontu wschodniego w lutym 1945 r. komando zostało ewakuowane do macierzystego obozu Gross-Rosen, skąd zostaliśmy ewakuowani, tzn. pędzeni pieszo do obozu koncentracyjnego Mittelbau Dora. Po drodze wycieńczeni więźniowie padali, a esesmani dobijali ich, strzelając w głowę. Trupy pozostawiali na drodze. Po przybyciu do obozu Mittelbau Dora i nadaniu mi numeru obozowego P 109841 zostałem umieszczony w bloku, gdzie mieścił się warsztat cerowania skarpet dla hitlerowców. Tu głód był straszliwy. Racje żywnościowe bardzo znikome i raz dziennie. Na drewnianych pryzkach spaliliśmy po dwóch a nawet trzech więźniów. Na tym bloku razem z więźniami mieszkali blokowy i kapo. Blok składał się z dwóch sztab mieszkalnych, warsztatu do cerowania skarpet, w środku bloku był sanitariat z betonowym okrągłym prysznicem do mycia.

Blokowy i kapo w swoich drewnianych skrzynkach mieli jedzenie: chleb, margarynę i kiełbasę. Ja, nie wytrzymując głodu, postanowiłem zabrać im to jedzenie. Zostałem jednak złapany. Za karę w obecności więźniów całego bloku dostałem 25 batów i zostałem skierowany do karnej kompanii w Nordhausen. Było to pod koniec marca 1945 r. Pamiętam, że w obozie Mittelbau Dora miała miejsce ucieczka pięciu więźniów. Daty tej ucieczki nie pamiętam. Więźniów tych złapano i na placu apelowym w obecności całego obozu została wykonana egzekucja przez powieszenie. W karnej kompanii w Nordhausen

warunki były okropne, ponieważ nie były to baraki, lecz jakieś hangary lub duże garaże. Spaliśmy na barłogu bez przykrycia, a jedzenie dawano raz dziennie. Po kilkudniowym pobycie w obozie przeżyliśmy nalot samolotów alianckich. Bombardowano miasto oraz obóz. Daty nie pamiętam, lecz pamiętam, że było dużo zabitych więźniów, przeważnie w zbombardowanej kuchni. Wartownicy esesmani pouciekali, a pozostali przy życiu więźniowie porozchodzili się po całej okolicy. Ja z jednym więźniem, którego nazwiska nie pamiętam, przez dwa dni błąkaliśmy się po polach bez jedzenia. Wreszcie, wyczerpani, postanowiliśmy się oddać w ręce ludności cywilnej.

Pamiętam, że dotarliśmy do jakiejś wioski i tam barmanka najpierw nas nakarmiła, a potem oddała w ręce żandarmów. Zostaliśmy osadzeni w więzieniu w miejscowości Halle, gdzie przebywaliśmy dwa dni. Potem zostaliśmy odstawieni do transportu kolejowego, w którym już przebywali inni wyłapani więźniowie. W tym transporcie kolejowym przebywałem do zakończenia wojny. W dniu 9 maja 1945 r., już po zakończeniu wojny, transport został odstawiony do Czechosłowacji i przekazany Czerwonemu Krzyżowi w miejscowości Teresin, gdzie nas wszystkich skierowano do szpitala na leczenie. Po dwóch miesiącach pobytu w szpitalu Czerwonego Krzyża w Teresinie powróciłem 23 czerwca 1945 r. do Polski.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.21



Plan obozu Fünfteichen wg szkicu opracowanego przez Tadeusza Solla - więźnia Nr 17266
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.10

ŻYCIE OBOZOWE W FÜNFTTEICHEN

Fünfteichen było największym obozem-komandem zewnętrznym obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Więźniowie zatrudnieni tam byli przy produkcji sprzętu zbrojeniowego w zakładach firmy Krupp "Bertha Werke", przeniesionych tu z Nadrenii. W tym czasie wiele zakładów zbrojeniowych otwierało swe filie na terenach Dolnego Śląska, ponieważ były one trudniej dostępne do bombardowania przez lotnictwo alianckie.

W obozie znajdowało się około trzydziestu baraków-bloków mieszkalnych, cztery baraki-bloki rewiru, dwa bloki tzw. echonungu oraz kuchnia, kantyna, magazyny, umywalnia, ubikacje i plac apelowy. Wszystko to było ogrodzone płotem z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym i zasiekami. Uzupełniały całość rozmieszczone dookoła wieże strażnicze, wysokości około ośmiu metrów. Na zewnątrz ogrodzenia znajdowały się budynki komendantury i obsługi obozu.

Stan dzienny więźniów wynosił stale około sześciu tysięcy ludzi różnych narodowości, w tym zdecydowaną przewagę mieli Polacy, a następnie Rosjanie i Żydzi.

Fünfteichen nie posiadało własnego krematorium ani komory gazowej. Zmarłych zakopywano po prostu na pobliskich polach lub w późniejszym okresie wywożono samochodami do Gross-Rosen. W końcu roku 1944 śmiertelność wśród więźniów była duża i wynosiła około sześćdziesięciu osób tygodniowo, co dawało stały ubytek siły roboczej, która była systematycznie uzupełniana przez nowe transporty z Gross-Rosen.

W jednym z takich transportów uzupełniających, w początkach października 1944 r., znalazłem się wraz z kolegami: Zenonem Śmieciańskim i Zygmuntem Wojtczakiem. Trafiłem na blok Nr 24, gdzie rządził BV-erowiec Gustaw /nazwiska nie znam/, który wraz z grupą funkcyjnych, ze sztabowym Romanem z Łodzi, stworzyli więźniom wyjątkowo trudne warunki życia.

Mieszkaliśmy w barakach zmontowanych z elementów drewnianych na podmurówce, składających się z dwóch pomieszczeń do spania i jednego dziennego, który był tylko na pokaz, gdyż więźniowie, ciągle wypędzani z bloku, przebywali przeważnie na dworze. Montaż elementów był tak niedbały, że przez pozostawione szpary i prześwity sypał się do środka śnieg, przeciekał deszcz i przedostawało się przejmujące zimno, tym bardziej że sypialnie w ogóle nie były ogrzewane. Pracowaliśmy w systemie dwunastogodzinnym, raz na dzień, raz na noc. Od godziny siódmej do godziny dziewiętnastej i odwrotnie.

Po zmianie dziennej wracaliśmy do obozu około godziny dwudziestej pierwszej. Otrzymywaliśmy obiad-kolację i po spełnieniu różnych obowiązków mogliśmy położyć się spać. Budzone nas już około godziny czwartej rano, potem było mycie, sprzątanie, śniadanie, apel i wymarsz do pracy. Wszystkie te czynności uzupełniali blokowi swoistymi, wymyślonymi zarządzeniami. Na przykład w bloku 5 codziennie rano blokowy przeprowadzał swym podopiecznym "kąpiel". Wszyscy musieli bez względu na pogodę i porę roku, pobiec nago do umywalni, umyć się i wrócić. Oczywiście podczas ubierania powstawały różne pomyłki, kradzieże odzieży i bałagan, na który tylko czekali funkcyjni, przywracający "porządek" biciem i katowaniem.

Najbardziej jednak dawała się nam we znaki nocna zmiana, ponieważ po całonocnej pracy i przyjsciu do obozu około godziny dziesiątej otrzymywaliśmy śniadanie i - zamiast spać - zapędzono nas do najróżniejszych wymyślnych czynności porządkowych, związanych z utrzymaniem higieny osobistej i czystości na terenie bloku, które trwały nieraz do południa. Było to mycie, golenie, golenie co trzy dni paska na głowie, odwszawianie, ponadto czyszczenie i naprawa odzieży; codzienne szlifowanie stołów, stołków, łóżek i innych sprzętów, mycie okien i podłóg, zamiatanie, grabienie i sprzątnięcie terenu wokół bloku, noszenie żywności z kuchni i szeregu innych czynności, których celem było utrzymywanie więźniów w stałym napięciu i zatrudnianiu. Każde zagapienie się lub drobne niedokładności przy wykonywanych pracach powodowały natychmiast wymierzaną karę indywidualną albo karne ćwiczenia dla całego bloku.

Sadyści SS-mani i funkcyjni, blokowi, kapo, sztabowi, znęcali się nad swymi ofiarami w najbardziej wyrafinowany sposób: kopali okutymi butami, bili pięścią, łokciem, pejczem, kijem, szufelką od węgla lub innymi będącymi akurat w zasięgu ręki przedmiotami. Pamiętam, jak podczas nocnego alarmu lotniczego, wyrwani ze snu więźniowie stłoczyli się w drzwiach z sypialni do jadalni i wtedy zostali okrutnie zmasakrowani przez blokowego Gustawa zwykłym stołkiem, który posłużył mu za narzędzie do bicia. Tak więc na sen i wypoczynek pozostawało nam zaledwie kilka godzin.

Pracowaliśmy w pięciu wielkich halach fabrycznych, podzielonych na oddziały /schiffy/. Każdy oddział posiadał własnego kapo. Razem z nami pracowali również pracownicy cywilni: Niemcy, Francuzi, Polacy i inni. Podczas pracy obowiązywały specjalne nakazy i zakazy, które nie pozwalały nam, między innymi na oddalanie się z miejsca pracy lub jakiegokolwiek kontakty z cywilami. Poza tym co trzy godziny zarządzano apel w celu sprawdzenia stanu więźniów. Wszelkie uchybienia karane były natychmiast lub po przyjsciu do obozu i wezwaniu do kancelarii /schreibstuby/.

Za tygodniową pracę z Kruppa otrzymywaliśmy od czasu do czasu jeden bon premiowy /premienschein/, za który mogliśmy otrzymać w kantynie obozowej kilka papierosów, lub coś do zjedzenia, na przykład miskę kiszonej kapusty czy buraków. Ci, którzy mogli otrzymać z domu paczki żywnościowe lub pieniądze, mieli się trochę lepiej, ale i tak zakup za pieniądze odbywał się w szczególny, wyrafinowany sposób. Więzień dowiadywał się od blokowego, że ma na swym koncie pewną sumę pieniędzy, lecz nie dostawał ich do ręki, tylko zmuszony był do jednorazowego wykupienia, za wszystko, żywności. Jeżeli była to więżeza suma, to za całość wykupywano np. dwie-trzy beczki kiszonej kapusty, buraków lub brukwi i przynoszono to wszystko na blok. Oczywiście delikwent mógł zjeść tylko określoną ilość, przeważnie i tak chorował z przejedzenia, a resztę rozdawano "wybrańcom" lub muzułmanom.

Zdarzyło się raz, że za pieniądze jednego z więźniów zakupiono parę beczek solonej dyni. Po powrocie z pracy na dzienną zmianę i zjedzeniu obiadokolacji, blokowy z zagadkową miną zapytał, kto jest jeszcze głodny? Natychmiast zgłosiło się wielu, lecz zamiast jedzenia otrzymali tylko kilka razów chochlą, natomiast blokowy wybrał sobie jednego z Rosjan /Iwana/ i spytał, czy chce otrzymać miskę jedzenia pod warunkiem, że musi zjeść ją na oczach wszystkich. Wybrańiec z radością zgodził się na tę propozycję i przystąpił do jedzenia. Już po krótkim czasie przekonał się, że mimo głodu, zjedzenie takiej ilości solonej dyni nie jest wcale łatwe. Z wielkim wysiłkiem, pod groźbą kary, uporał się z zawarto-

ścię miski i poprosił o pozwolenie pójścia do umywalni, aby móc napić się wody, lecz na to mu nie pozwolono. Na tym właśnie polegała perfidia, żeby bez kary cielesnej przeżył jeszcze większe męczarnie, nie mogąc zaspokoić pragnienia. W tym czasie zresztą jeszcze wiele osób ekusiło się na zjedzenie, już po tym zdarzeniu, rozdawanej dyni, ponieważ pokusa zaspokojenia "choroby" głodu była większa niż rozędek. Wszyscy jednak bardzo tego żałowali, gdyż picie dużej ilości wody dla ugaszenia pragnienia spowodowało u wielu rozstrój żołądka i biegunkę, która dla wycieńczonych organizmów była chorobą nadzwyczaj groźną i trudną do opsanowania. Dodatkowym umęczeniem były jeszcze kary i "ćwiczenia" za nieporządek, ponieważ nikt nie mógł zjeść zamierzonej porcji do końca, starając się ukryć lub wyrzucić ją gdziekolwiek, co oczywiście nie uszło uwadze funkcyjnych.

Podczas mego pobytu w Fünfteichen zdarzyło się kilka ucieczek z terenu fabryki. Najlepiej pamiętam ucieczkę Rosjanina, jeńca wojennego imieniem Sasza, który pracował przy sąsiedniej obrabiarce, tuż obok mnie. Działo się to wszystko na nocnej zmianie, podczas alarmu lotniczego. Musieliśmy przejść do schronów przeciwlotniczych, znajdujących się na zewnątrz, niedaleko hal fabrycznych. Było przy tym trochę zamieszania z powodu pośpiechu i ciemności. Kontrola również była utrudniona, bo oprócz więźniów chowali się także do schronów pracownicy cywilni. Sasza wykorzystał moment nieuwagi, nie pobiegł wraz z innymi do schronu, lecz pod osłoną ciemności przedostał się przez zewnętrzne ogrodzenie zakładu i uciekł na wolność. Był to bardzo dobry moment do ucieczki dlatego, że alarm trwał około trzech godzin i dopiero po jego zakończeniu, w czasie apelu, można było stwierdzić brak jednego z więźniów. Po parokrotnym liczeniu polecono nam zająć swoje stanowiska pracy i wtedy okazało się, że brakuje Rosjanina, mojego sąsiada. Czas jednak działał na jego korzyść i zanim rozpoczęto dokładniejsze poszukiwania, on odbiegł już dość daleko lub ukrył się w bezpiecznej kryjówce.

Całe to zdarzenie przeżyłem bardzo mocno, ponieważ byłem parę razy "przesłuchiwany" przez kapo i SS-manów, czy nie zauważyłem czegoś, co wskazywałoby na przygotowania do ucieczki. Jeśli fakt ten miał by miejsce podczas pracy, groziła mi kara za niezgłoszenie o braku mojego sąsiada przy maszynie dłużej niż pięć minut.

Drugą udaną ucieczką, którą znam tylko z relacji kolegów, była ucieczka jednego z więźniów z Krakowa. Po zakończeniu dziennej zmiany, około godz. 19,30 rozpoczęliśmy wymarsz do obozu. Było ciemno, śąpił dorbny deszcz. Żeby dostać się do naszej ogrodzonej drogi, musieliśmy przejść kilkaset metrów po drogach wewnętrznych, zakładowych, z których również korzystali inni pracownicy-cywilie. Na jednym z zakrętów więzień wyskoczył z szeregu i nie zauważony zmieszał się z grupą cywilów, prawdopodobnie zaprzyjaźnionych, którzy całoww stworzyli taką sytuację, umożliwiając mu ucieczkę do wcześniej przygotowanej kryjówki. Zanim się zorientowano, już było po wszystkim - ciemności sprzyjały temu wyczynowi. Najbardziej ucierpieli na tym najbliżsi sąsiedzi uciekającego, za to, że nie weszli na czas alarmu, i my wszyscy stojący kilka godzin na deszczu i oczekujący na rezultaty poszukiwań. Wróciliśmy do obozu dopiero około północy z cichą satysfakcją, że chociaż jednemu z nas się powiodło.

Była również udana ucieczka dwóch lub trzech więźniów pracujących jako hydraulicy. Ponieważ zakłady budowano w pośpiechu, nie wszystko, co zaplanowano, zostało wykończzone na czas. Na razie urządzono i oddano do użytku na naszej hali jedną ubikację,

natomiast drugą, tuż obok, dopiero wyposażano. Grupa więźniów zatrudniona przy tym systematycznie nadpiłowywała kraty, przygotowując ucieczkę. Działali oni w porozumieniu z cywilami, od których otrzymali odpowiednie ubrania. Wreszcie, gdy wszystko było gotowe, zaraz po apelu o północy, przebrali się, wyłamali kraty i uciekli. Na bezpieczne oddalenie się mieli czas aż do rannego apelu, kiedy to podczas liczenia stwierdzono ich brak. Od tej ucieczki wprowadzono dwa dodatkowe apele o godzinie 22,00 i 3,00 w nocy.

Raz tylko zdarzyło się, że więzień pracujący w transporcie ukrył się w załadowanym wagonie, ale został odnaleziony i ciężko ukarany. Nieszczęściem jego było to, że wagon, w którym się ukrył, nie odjechał w planowanym czasie. Po stwierdzeniu braku, rozpoczęto poszukiwania zakończone "sukcesem".

Chociaż nie wszystkie ucieczki były przez nas zauważone, to zawsze orientowaliśmy się dobrze, co się stało, po dodatkowych apelach, liczeniu i nerwowych poszukiwaniach. Zawsze spotykały nas wtedy różne represje, kary, popędzanie, bicie i ćwiczenia, które świadczyły o bezsilności, złości i bestialstwie SS-manów. O tym zaś, czy ucieczka była udana, czy nie, dowiadaliśmy się stąd, gdy schwytana ofiara była na oczach wszystkich bita i maltretowana, nieraz aż do śmierci, a następnie pokazywana w miejscu publicznym jako ostrzeżenie dla tych, którzy mieliby chęć naśladowania.

Stosunkowo duża ilość podejmowanych w tym czasie ucieczek spowodowana była zapewne ogólną sytuacją na frontach, która zapowiadała rychły koniec Trzeciej Rzeszy. Miało to niewątpliwie swój wpływ na zachowanie się obsługi obozu, przejawiające się zmniejszoną koncentracją, oznakami obojętności i rozluźnienia dyscypliny, co pozwalało więźniom na większą swobodę w tego rodzaju działaniach.

Sprawą, na którą warto również zwrócić uwagę w Fünfteichen, były warunki bytowe i higiena. Zaczniemy od żywienia. Było ono następujące: Na śniadanie otrzymywaliśmy pół litra zupy z kartofli, którą przygotowywano w ten sposób, że kartofle, po opłukaniu, wrzucano w całości do kotła i zagotowywano, nawet nie dodając soli. Powstawała z tego mętna, szara ciecz z pływającymi w niej obierkami. Do tego 30 dkg chleba i kawałek margaryny, twarogu, marmolady lub pseudowędliny. Na dodatek specjalna premia od firmy Krupp, tzw. dziesiątka, w postaci kawałka chleba wagi około 10 dkg. Ta ilość żywienia musiała wystarczyć na cały dzień, ponieważ dopiero po powrocie z pracy około godziny 21 otrzymywaliśmy obiad-kolację w postaci jednego litra zupy z buraków pastewnych, brukwi, marchwi czy jakiegokolwiek innej zielenicy. Zupa była poważnie zupełnie zimna, gdyż kotły czekały na nas już od południa.

Ubranie więźnia w okresie letnim składało się z pasiaków, trepów i czapki, w zimie dodawano jeszcze płaszcz-pasiak i skarpety. Bielizna też ze specjalnego materiału w pasy lub cywilna. O ubiór każdy musiał dbać we własnym zakresie, otrzymując od czasu do czasu "naukę" od funkcyjnych. Bielizny w ogóle nie prano, tylko wymieniano na inną, ale dopiero po dwóch, trzech miesiącach noszenia. Nieraz dochodziliśmy do wniosku, że to postępowanie jest celowe, bo po co zmieniać bieliznę komuś, kto i tak w tym mniej więcej czasie pożegna się z tym światem.

Warunków do mycia i zachowania higieny osobistej nie mieliśmy w zasadzie żadnych. Prymitywne obiekty, zwane umywalniami, urządzone były w ten sposób, że nad kamiennymi korytami przeprowadzono rury, z których kapiała zimna woda. Po wpędzeniu do środka kilku-

dziesięciu osób trudno było w nich się poruszać, nie mówiąc już o myciu lub kąpaniu. Ponadto rozchlapywana woda wraz z naniesioną ziemią stwarzała błoto, rozdeptywane i roznoszone dookoła. Jedy-
nym pożytkiem z umywalni było to, że w nielicznych wolnych chwila-
ch stawała się ona miejscem spotkań z kolegami, a jednocześnie
swego rodzaju giełdą, targiem, gdzie można było wymienić papiero-
sy, chleb lub inne przedmioty codziennego użytku.

Poza ciągłym uczuciem głodu i brudem bardzo nam dawało się we
znaki zimno. Wystawaliśmy na apelach na deszczu, chłodzie i mro-
zie. Spaliśmy w pomieszczeniach nie ogrzewanych, na papierowych
siennikach wypchanych wiórami drzewnymi, pod jednym kocem, na do-
datek przy otwartych oknach. Jedynym schronieniem była fabryka,
która zabezpieczała nas przed wpływami atmosferycznymi.

Bardzo dokuczliwym zjawiskiem w obozie była plaga wszy, które
stawały się nie do zniesienia. Sprzyjało ich rozwojowi też to, że
za każdym razem spaliliśmy w innym łóżku, wybierając po prostu pierw-
sze wolne. Ciągłe akcje odwyszawiania pomagały niewiele, najwyżej
dawały powód do bicia, gdyż za każdą znalezioną wesz otrzymywało
się pięć batów. Próbowano także smarowania głowy i innych wrażli-
wych części ciała roztworem wody i żrących substancji chemicznych,
które zamiast zabijać wszy, tylko drażniły i niezczyły skórę, po-
wodując przykre dolegliwości.

Osobną sprawą było strzyżenie i golenie, którego musieliśmy
przestrzegać pod groźbą kary. Nosiliśmy włosy długości do dwóch
centymetrów, z wygolonym przez całą głowę pasem szerokości około
trzech centymetrów. Również włosy na karku musiały być wygolone
równo z uszami. Czynności te trzeba było powtarzać co najmniej
raz na trzy dni /np. środa, sobota/ i były one dla nas ietną udrę-
ką, ponieważ golono nas zazwyczaj na dworze w wielkim pośpiechu,
byle jak, a przede wszystkim tępymi brzytwami lub żyletkami, bez
mydła. Nie obyło się przy tym bez zacięć i skaleczeń, które na
skutek brudu przeradzały się nieraz w ropiejące rany.

Do całości życia obozowego trzeba jeszcze włączyć pobyt w
szpitalu obozowym /rewirze/ i bloku ochronnym /schonung/. Rewir
był wydzielony i ogrodzony płotem z pojedynczego drutu kolczaste-
go. Przebywali w nim więźniowie chorzy lub wycieńczeni do tego
stopnia, że nie mogli o własnych siłach ustać na nogach. Wyżywie-
nie podobne było do ogólnego, tylko pomniejszone o dodatki dla
pracujących w fabryce. Chorzy leżeli nago, bez bielizny, po dwóch
w jednym łóżku. Lekarzami, kapo i sanitariuszami byli więźniowie
często nie mający nic wspólnego z medycyną. Ciężko chorzy zdani
byli przeważnie na łaskę losu, natomiast lżej chorych próbowano
niekiedy leczyć lekami zorganizowanymi od Niemców lub od
pracowników cywilnych i przemycanymi do szpitala. Konieczne zabie-
gi przeprowadzano "na żywo", bez znieczulania, za pomocą prymi-
tywnych środków i narzędzi. Oczywiście nawet tych najprostszych
środków i leków nie starczało dla każdego i dlatego też trzeba
było cudu, żeby wyzdrowieć. Komu się to udało, zostawał z rewiru
wypisany i przechodził na schonung, gdzie przed powrotem do fabry-
ki jeszcze przez dwa trzy dni był wykorzystywany do różnych prac
porządkowych w obozie.

Obóz rządził się własnymi, nieludzkimi wprost prawami. Panował
w nim stały terror fizyczny i psychiczny. Puszczona w ruch przez
oprawców machina z okrutną bezwzględnością niezczyła wszystkich,
którzy stanęli na jej drodze. Dokładny opis lub odtworzenie tego,
co działo się za drutami, jest wprost niemożliwe. Żeby to właści-
wie zrozumieć, trzeba to samemu przeżyć.

Przedstawione powyżej fakty i wydarzenia są tylko drobnymi fragmentami niedoli więźniów. Bestialskie traktowanie, głodzenie, maltretowanie, wyniszczanie przez pracę ponad siły i zabijanie - wszystko to stwarzało warunki, w których przeżycie kilku miesięcy graniczyło z cudem. Z tych właśnie powodów Aussenkommando Fünf-teichen /obecnie Jelcz/ zaliczyć trzeba do symboli cierpień, ka-torgi i męczeństwa ludzi.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.17

UCIECZKA

Od chwili aresztowania mnie oraz w czasie przebywania na gestapo i w więzieniu w Tomaszowie Mazowieckim /wówczas przy ul. Antoniego/, a potem podczas transportu, jak też i w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen, a następnie w obozie koncentracyjnym w Fünfteichen w 1944 r. myśl o ucieczce nigdy nie dawała mi spokoju. Zapewne jak każdemu takiemu jak ja.

Pod koniec maja 1944 r. rano przywieziono mnie transportem z Gross-Rosen do Fünfteichen. Zaraz w tym samym dniu widziałem, jak więźniowie wynosili na drewnianych tragach 7 czy 8 niemożliwie wychudzonych trupów z bloku 14. Zrobiło to na mnie niesamowite wrażenie i zarazem pogłębiło moją chęć i odwagę do ucieczki. Takie widoki nie należały do rzadkości. W kilka dni po przyjeździe do Fünfteichen byłem zatrudniony przez dwa dni przy kopaniu "zygzakowatych" rowów, tzn. przeciwlotniczych. Przy tej pracy byłem naoczny świadkiem, jak dwaj SS-mani podeszli do nas - nie wiem, co im się nie podobało - i zastrzelili kopających obok mnie dwóch Rosjan.

Te wszystkie widoki i postępowanie z nami ugruntowały we mnie przekonanie, że należy uciec, nie zważając, co będzie. Szanse do ucieczki nie było, ale około 15 listopada 1944 r. przyszła mi myśl, aby zbadać kanały w fabryce Kruppa, gdzie byłem zatrudniony przy maszynie. Kanałami były doprowadzone kable elektryczne do maszyn. Byłem na hali 4. Jak inne, tak i ta hala podzielona była na tak zwane szyfy. Między szyfami były kanały, o których wspominałem.

Między szyfem 28 a 29, pracując na nocnej zmianie, rozpocząłem dorywcze badanie płytkiego, wąskiego, lecz dość długiego kanału. Kanał ten był nakryty cementowymi płytami wielkości płyt chodnikowych na ulicach. Aby mnie nikt nie zauważył, zachowując ostrożność, podniosłem jedną z płyt nakrywających kanał. Zobaczyłem, że jest możliwość czołgania się kanałem. Dach hali spoczywał na podwójnych filarach w kształcie dużej litery H, a między tymi filarami, ustawionymi w prostej linii, przebiegały omawiane kanały. Udałem, że idę do ubikacji, meldując to sąsiadowi, który pracował na sąsiedniej maszynie. Ubikacja była w drugim końcu hali. Obszedłem kręgiem szyfy i wróciłem kryjąc się za moją szafką narzędziową i filar. Upewniłem się, że nie powinien mnie nikt widzieć, i wszedłem do kanału. Na jego dnie pozostawiłem kawałek deski pochodzącej ze skrzynki od opakowania, by wracając z powrotem wiedzieć, gdzie wszedłem. Powrót kanałem był możliwy tylko czołgając się nogami do przodu, gdyż w kanale nie było możliwości obrócić się. Było tu prawie zupełnie ciemno, światło dochodziło tylko szparami nakrytych płyt. Czołgałem się kanałem w kierunku toru kolejowego, który zbudowany był dla podstawiania wagonów na hale. Od miejsca, gdzie wszedłem do kanału było około 50-60 metrów do toru. Doczołgałem się do końca tym kanałem i dalej droga się skończyła mniej więcej przy torze kolejowym. Obmacywałem rękoma kable, gdzie dalej prowadzą, i zauważyłem, że skręcają w głąb. W czasie obmacywania kabli, wspierając się ręką o spód kanału, odczułem jakby się dno kanału poruszyło. Powtórzyłem tę czynność - rzeczywiście z lekka kołysze się jakby nierówno położona płyta. Nic więcej nie mogłem zrobić gołymi rękami. Wycofałem się tyłem do miejsca zazna-

czonęgo deską. Z dużą ostrożnością uniosłem płytę i wyszedłem z kanału. Potem wróciłem do maszyny i zacząłem pracować.

Tej nocy już więcej do kanału nie wchodziłem. Liczyłem się z tym, że częstsza moja nieobecność przy pracy może być podejrzana. Czas pobytu w kanale musiał być bardzo krótki, gdyż pobyt w ubikacji był określony na około 7 minut. Podczas przebywania w Fünfteichen postanowiłem udawać człowieka bardzo flegmatycznego, by nikt mnie nie podejrzewał o ucieczkę.

Nocna zmiana trwała tydzień. Więc następnej nocy po apelu na hali, gdyż nas często przeliczali, po godz 22 zabrałem ze sobą dwa płaskowniki żelazne o długości około 35 cm i kawałek drewna do podkładania przy podważaniu. Ostrożnie wszedłem do kanału, pozostawiając znak i podczołgałem się znów do interesującego mnie miejsca. Podważyłem płytę płaskownikiem, korzystając z niedużej szpary; bez trudu dała mi się wyważyć. Odsunąłem ją ostrożnie pod siebie, licząc się z tym, że na pasie stoją tam co parę metrów SS-mani. Weunąłem rękę na całą długość, odczułem luz, poruszając płytę w lewo i prawo. Nagle zobaczyłem bardzo słaby blask światła. Wytraszyłem się, nasłuchiwałem chwilę, nachyliłem głowę i zobaczyłem, że odkryłem właz do dużego kanału, głębokiego około półtora metra i 70 czy 80 cm szerokiego. W końcu tego kanału świeciła się żarówka. Według mojej orientacji, kanał, zwany przeze mnie głównym, przebiegał pod torem kolejowym. Widziałem dokładnie zawieszone kable na boku kanału. Obserwowałem jeszcze chwilę, nie zauważyłem jednak żadnych ruchów ludzkich. Dysponowałem bardzo krótkim czasem - musiałem już wrócić na halę do pracy. Zasunąłem płytę i wycofałem się.

Następnej nocy zdobyłem się na odwagę i wszedłem do głównego kanału. Było spokojnie, więc ruszyłem w kierunku świecącej się żarówki - licząc na halę w kierunku pierwszego szyfy. Po drodze widziałem kable skręcające do poszczególnych małych kanałów, między szyfy. Po lewej stronie napotkałem tej samej wielkości kanał co główny, o długości około 6-7 metrów, ale ślepy; dalej nie prowadził. Takich kanałów spotkałem 3 czy 4, lecz ostatni, boczny, był zakończony schodami betonowymi, nakrytymi z góry deskami. Doszedłem do końca głównego kanału aż poza świecącą żarówką i również dalej nie można było iść, też był zakończony betonem. Wróciłem z powrotem do kanału bocznego. Próbowałem odsunąć deski, bez specjalnego wysiłku zrobiłem to i wyszedłem po schodach do nie wykończonego pomieszczenia, które było poza ścianą i torem na hali, gdzie stali SS-mani, czyli znalazłem się poza najgorszą do przebycia, strzeżoną strefą. W nie wykończonym pomieszczeniu poza materiałem budowlanym nic nie było, a w zewnętrznej ścianie duże okno z lufcikami na dole, którym swobodnie można by się wydostać na dwór i który się otwierał. Wydawało mi się, że jestem już za długo, więc powróciłem na halę do pracy.

Sądziłem, że tą drogą będzie można się wydostać, ale uciekać jeszcze nie mogłem, bo nie byłem przygotowany. Bałem się, czy przypadkiem ogrodzenie fabryczne nie jest na jakimś odcinku pod prądem wysokiego napięcia. W związku z tym zdobyłem na hali kawałek gumowego brezentu i użyłem coś w rodzaju rękawic. Następnie chciałem zdobyć nożyce do cięcia drutu, ale to się nie udało. Na szyfie 30 pracował Bolesław Majchrzak, znałem go z wolności. Mieszkał na wsi Nowe Chusty, pow. Brzeziny, miał około 57 lat. Pracował przy czyszczeniu luf armatnich wewnątrz i miał kombinerki. Postanowiłem na krótko przed zdecydowaną ucieczką iść do niego i pożyczyć. Upłynęło parę dni, nim byłem gotów. W następnym tygodniu prze-

szedłem na zmianę dzienną, tj. od 5 do 22. Było to 19 listopada 1944 r. W tym dniu, będąc już przygotowany, biłem się z myślami, czy uciekać, czy nie - co w ogóle robić. Na samą myśl "uciekać" szumiało mi w głowie ze strachu. Wiedziałem, co robią z tymi, którzy uciekają, jeśli ich złapią, wiedziałem, w jaki bestialski sposób ich mordują. Pamiętałem kilka zorganizowanych ucieczek, i to przez ludzi mądrych, ale żadna z nich się nie udawała - zawsze byli chwytni. Ostatni przede mną kolega Wilczek z Wareszawy, pracował na 2 szybie przy załadunku wagonu wiórami od tokarni. Wszedł do wagonu i koledzy go przysypali, czy też bez wiedzy kolegów został przysypany. Wprawdzie wyjechał wagonem z hali, lecz wkrótce był apel; po przeliczeniu SS-mani szybko się zorientowali i w tych wiórach go zadźgali szpikulcami. To mi stało w oczach i hamowało przed zdecydowaniem się na ucieczkę.

Może będzie mnie to ośmieszalo, ale tak było: w nocy z 19 na 20 listopada miałem sen, który jeszcze dziś pamiętam. Śniła mi się biała gęś siedząca na gnieździe i śmiała się do mnie, a ja jakąś rurą kulnąłem duże białe jajo pod tę gęś i ono przeleciało na drugą stronę. Zastanawiałem się nad tym snem, przyrównywałem jajo do siebie, że jeśli ono przeleciało rurą na drugą stronę, to może i mnie się uda wydostać na wolność z piekła.

20 listopada jeszcze zastanawiałem się, co robić, wreszcie konkretnie postanowiłem uciekać. W tym dniu udawałem, że jestem chory na biegunkę; mówiłem do więźniów pracujących na sąsiednich maszynach, że muszę często chodzić do ubikacji. Robiłem to dlatego, że było dużo kapusiów i nie można było nikomu wierzyć. Trzeba było spowodować, aby nie było podejrzenia z powodu mojej nieobecności i bym miał więcej czasu na oddalenie się, nim zameldują, że mnie długo nie ma, i aby myśleli, że jestem chory i siedzę w ubikacji. Przed godz. 17 pożyczyłem kombinerki, i zaraz po apelu, mając już całe wyposażenie, tj. rękawice, kombinerki i dwa płaskowniki żelazne, zameldowałem sąsiadowi, że idę do ubikacji. Okrążyłem po szyfach, wszedłem do małego kanału wraz ze sprzętem, podczołgałem się do głównego kanału po uprzednim wyważeniu płyty. W głównym kanale zdjąłem z nóg trepy i bardzo cicho i ostrożnie dostałem się do bocznego kanału zakończonego schodami. Posłuchałem, czy kogoś nie słychać, ostrożnie rozsunąłem deski, którymi były nakryte schody, wszedłem do nie wykończonego pomieszczenia, zasuważąc za sobą deski, by nie pozostawić śladów, podszedłem do okna, uchyliłem lufcik i ostrożnie wyjrzałem. Zauważyłem, jak SS-man, który jeszcze robił obchód dookoła hali, wkrótce skręcił za jej narożnik i znikł. Miałem już wyjść przez lufcik, ale coś mnie tknęło, by jeszcze chwilę poczekać; okazało się, że SS-man również za rogiem hali postać chwilę i znów wyjrzał. Jeszcze chwilę czekałem obserwując, ale nie było nikogo widać, SS-man widocznie poszedł. Jeszcze chwilę odczekałem, choć ta chwila wydawała mi się godziną - zaryzykowałem, wyszedłem przez lufcik i wolnym krokiem udałem się w kierunku złożonego budowlanego materiału leżącego obok nowo budowanej hali. Między wagonikami /kolebkami/ uznałem, że już mnie nie widać. Po chwili znalazłem się na ciemnym terenie fabrycznym i wtedy szybkim krokiem, nasłuchując, dostałem się do siatki, którą był ogrodzony teren fabryczny. Ogrodzenie nie było pod napięciem. Przedostałem się pod siatką, skorzystałem z jakiegoś dołka czy rowka. Aby nie robić hałasu, w obawie, czy SS-mani przypadkiem nie mają obchodu poza ogrodzeniem terenu fabrycznego, jeszcze około 150 metrów szedłem b. powoli i ostrożnie. Potem zacząłem biec, na ile mi moje siły pozwalały. W polu było

ciemno, uciekając potykałem się co kilka kroków. Wreszcie przebrnąłem pole i przystanąłem nie czując nawet zmęczenia. Nic za mną nie było słyhać, tzn. nie gonią. Ruszyłem w kierunku stacji kolejowej Marktadt. Zdążyłem dobiec do stacji, w tym czasie gwizdnął parowóz, pociąg ruszał, a ja wskoczyłem na wagon węglarkę. Wdrapałem się do wewnątrz, była załadowana pokrzywionymi kawałkami trągrów i złomem. Schwałem się, jak głęboko się dało, i jechałem dosyć długo. Od czasu do czasu pociąg się zatrzymywał, być może parowóz brał wodę, i jechał dalej. Kiedy się pociąg zatrzymywał wychodziłem na powierzchnię złomu i obserwowałem, czy nie ma przypadkiem obławy.

Około północy zauważyłem po dużej ilości świateł, że pociąg będzie wjeżdżał zapewne na dużą stację. Bałem się na nią wjechać, sądziłem, że mogę prędzej wpaść w łapy szwabów. Zszedłem na stopień węglarki, uchyliłem rączkę kranu przewodu pneumatycznego hamowania. Powietrze zaczęło syczeć, a pociąg zaczął zwalniać szybkość. Widziałem, że jedzie dosyć wolno, więc wyskoczyłem po uprzednim ustawieniu rączki kranu do poprzedniego połączenia. Pociąg nie zatrzymał się, posapał i pojechał dalej. Okazało się, że wyskoczyłem w pobliżu jakiegoś dość dużego miasta. Okrążyłem to miasto polami, dostałem się do toru kolejowego już poza miastem. Na taką dużą stację bałem się wracać, więc pieszo, nad torem, udałem się do następnej. Pociągi jechały, ale wskoczyć nie mogłem, bo była za duża szybkość. Wreszcie doszedłem do tarczy ostrzegawczej - teraz już się nie martwiłem o wsiadanie do pociągu. Przed aresztowaniem pracowałem w kolenictwie, więc się znałem. Odkręciłem o dwa obroty korbę, na skutek czego obniżyłem lampy i okulary tarczy - przez co pokazywała ona sygnał pomarańczowy, mimo że była podana na wolną drogę. Potem podszedłem do semaforu wjazdowego, z którym współpracuje tarcza ostrzegawcza i na semaforze również obniżyłem lampy o dwa obroty, przez co odłączyły się okulary z haka ramienia semafora. Kiedy był podany semafor na wolną drogę, to i ramię semafora było podane. Ale światło na semaforze zamiast być zielone, pozostało czerwone. W nocy maszynista pociągu, nie widząc ramienia semafora, kieruje się sygnalizacją świetlną, jaka jest na semaforze. Gdy pociąg jechał, wówczas maszynista widział na tarczy ostrzegawczej sygnał wskazujący zgodnie z pokazującym się na semaforze "stój". Takich eksperymentów, jakie robiłem przy tarczy i semaforze, pracownik kolejowy na swoim posterunku mechanicznym nie jest w stanie odczuć i nie może się zorientować. Niedługo czekałem przy semaforze - jechał pociąg. Zagwizdał przed tarczą ostrzegawczą, po krótkim czasie zbliżał się do semafora i prawie miał stanąć. Ja w tym czasie ukryłem się za napędem semafora i skoro pociąg miał stanąć, szybko podkręciłem lampy do góry na semaforze i ukazało się światło zielone, bo przecież ramię semafora było na wolną drogę. Na tarczy ostrzegawczej lampy musiały pozostać do rana opuszczone, póki nie przyszedł kolejarz je gasić. Czas był wojenny, światła na czole parowozu były przyciemnione, więc maszynista nie mógł oświetlić i widzieć, że ramię jest podane, mimo że dość blisko podjeżdżał do semafora. Po jego minięciu przez parowóz i kilku wagonów wskoczyłem z ukrycia na stopień węglarki, potem wdrapałem się do wewnątrz, była załadowana cegłą szamotową i poprzekładana słomą. Wyciągnąłem trochę słomy, bym miał się czym nakryć w razie przejeżdżania przez stację pod lampą gdzieś przy nastawni, aby mnie ktoś nie zauważył. Jechałem tym pociągiem niedługo, gdyż zobaczyłem przejeżdżając stację, że na zegarze czas pokazywał około godz. 5 nad ranem. Dłużej nie mogłem

Jechać, nie znając trasy ani kierunku, aby w pasiakach nie wjechać na jaką dużą stację, do tego przy mieście i w dzień, bo wówczas byłbym szybko odkryty i złapany. Jadąc akurat przez las, wolałem wyskoczyć. Pociąg zwolnił szybkość, gdyż jechał na wzniesieniu. Wydawało mi się, że bez trudu wyskoczę. Niestety, skacząc wyrzuciłem kilka koziółków i wpadłem do niezbyt głębokiego rowu. Zmoczyłem się cały, potłukłem głowę i lewy bok. Wyskakiwałem w trepach, być może przez to ślamazarnie, ale na szczęście iść mogłem, tylko oddychać głęboko było mi trudno. Zgubiłem jeden płaskownik żelazny i kombinerki, drugi płaskownik znalazłem - leżał obok roku. Wiedziałem, że niedługo będzie świt, nie mogłem nic więcej wymyśleć, jak pozostać w lesie przez cały dzień. Oddaliłem się od toku o około 500 m, napotkałem las świerkowy, z gęstym podszyciem i w tych świerkach się zatrzymałem. Zmoczony, głodny i obolały od potłuczenia, mimo tego nałamałem gałęzi, zrobiłem daszek i podłóżę do siedzenia. Zimno i głód mi dokuczały, do tego padał deszcz i mój daszek zaczął przeciekać. O spaniu nie było mowy, dzień się dłużył. Wreszcie zaczęło szarzeć, miałem ochotę swą kryjówkę opuścić, lecz zdawałem sobie sprawę, że jest to listopad i robi się wcześniej ciemno, a ludzie jeszcze dość długo się kręcą, nim pójdą spać. Był to teren niemiecki i wiedziałem, że nie wolno mi się z nikim spotkać, ani też z nikim rozmawiać. Jak się ściemniało, pozwoliłem sobie na rozruszanie się, by rozgrzać skostniałe chude ciało.

Około godz. 20 - jak przypuszczałem - wyruszyłem w drogę. Obawiając się, że do następnej stacji będzie daleko, wróciłem do tej, którą nad ranem przejechałem. W pobliżu stacji napotkałem na gospodarstwo. Ponieważ głód bardzo dawał mi się we znaki, zacząłem się kręcić dokoła. Prawie że przy podwórku zobaczyłem murowaną piwnicę, ostrożnie ją otworzyłem i wszedłem. Po omacku znalazłem marchew. Nabrałem jej w kieszenie i za koszulę i oprócz kartofli nic więcej nie znalazłem. Udałem się do tarczy ostrzegawczej, a następnie wróciłem do semafora. Po drodze w kałuży opłukałem marchew i pożywiałem się. Powtórzyłem eksperyment z semaforem, czekałem niedługo, zaraz słychać było jadący pociąg, po chwili wyjechał z łuku. Zbliżył się do tarczy ostrzegawczej, zagwizdał, i zaczął stawać. Podkręciłem o dwa obroty na semaforze. Pociąg dość energicznie ruszał. Parowóz minął semafor, za którym byłem ukryty, zauważyłem, że to pociąg pasażerski. Nie wsiadałem do niego, bałem się Niemców. Upłynęło około 40 minut, zanim doczekałem się pociągu towarowego. Po dokonaniu manipulacji z semaforem pociąg zwolnił, wsiadłem do budki hamulcowej przy krytym wagonie, gdyż była na obie strony otwarta, wiedziałem, że w niej nikogo nie ma. Jadąc pociągiem, przyszedłem do przekonania, że koniecznie muszę się w jakiś sposób przebrać, a w szczególności zdobyć buty, bo w czasie marszu trepy strasznie mnie zdradzały, uderzając w kamienie. Jazda tym pociągiem była mozolna, gdyż zatrzymywał się na każdej stacji, a ja musiałem się kryć, by mnie drużyna pociągowa nie widziała. Noc zeszła, a drogi ubyło niewiele. Przejeżdżając obok budynku stacyjnego, zobaczyłem, że jest godz. 4,30 czy 5,30 - nie pamiętam. Opuściłem ten pociąg na tej stacji i udałem się poszukać dziennego noclegu. Bałem się lasu, gdyż słota dawała mi się we znaki.

Około kilometra od tej stacji zobaczyłem gospodarstwo stojące w polu na uboczu. Po cichutku wszedłem do stodoły, by przypadkiem nie zbudzić psa. W pogotowiu trzymałem w ręku sztabik żelazny, który z sobą wziąłem. Płądrowałem w stodole trochę za ciuchami i

butami, ale nie było nic. Korzystając z ciszy, podszedłem do budynku mleczarni zobaczyć, czy nie było ubrania lub butów, ale znalazłem tylko kartofle. Zabrałem trochę i wróciłem do stodoły. Zagrzebałem się w słomę w sąsięku i postanowiłem przesiedzieć dzień. Od gryzienia marchwi wydawało mi się, że już mi się zęby ruszają. Byłem tak bardzo zmęczony, że nie wiedziałem, kiedy zasnąłem. Gdy się przebudziłem, było widno. Zjadłem pewnie ze dwie marchwie, nagle słyszę, że ktoś wszedł do sąsięka. Wziąłem do ręki mój żelazny płaskownik i czekałem w ogromnym napięciu. Na szczęście nic złego się nie stało. Prawdopodobnie gospodarz wszedł po słomę i zaraz wyszedł. Około godz. 20 opuściłem ostrożnie stodołę i skierowałem się do stacji, na której nad ranem wysiadłem. Udałem się znów do semafora wjazdowego i przechodziłem w niedużej odległości od budynku dworcowego. Tam spostrzegłem na peronie kilku Niemców z automatami. Krew uderzyła mi do głowy i zrobiło mi się gorąco. Pomyślałem, czy przypadkiem nie jest obława na mnie. Ze strachu zmieniłem kierunek. Poszedłem polami wzdłuż toru, nie zbliżałem się doń, myślałem, że może przypadkiem jest obstawiony z uwagi na przejazd jakiegoś specjalnego pociągu. Szedłem pieszo parę godzin, szło się bardzo ciężko po rozmokłym polu. Widziałem światło tarczy ostrzegawczej, koniecznie chciałem się dostać do jakiegoś pociągu. Bardzo ostrożnie podszedłem do tarczy i odkręciłem okulary z lampami i znów z dala od toru doszedłem do semafora i odkręciłem lampy o dwa obroty korbą. Zaraz prawie nadjechał pociąg. Po manipulacji z semaforem wsiadłem na platformę załadowaną drewnem i pojechałem. Ten pociąg jechał bardzo dobrze, prawie się nie zatrzymywał, aż dostrzegłem łunę od światła. Pomyślałem, że to widocznie jakaś większa stacja lub miasto. Było sporo po północy. Zrezygnowałem z dalszej jazdy, licząc się z tym, że nie dam rady okrążyć pieszo dużego miasta. Bałem się, że może mnie zaskoczyć dzień. przyhamowałem więc pociąg i wyskoczyłem gdzieś w pobliżu nie strzeżonego przejazdu. Poszedłem drogą może z kilometr i zobaczyłem zabudowania stojące w pobliżu wioski. Po cichu wszedłem na podwórkę i z kolei pod szopę, gdzie stał wóz konny. Znalazłem jakieś ciuch, okazało się, że to paltko dziecięce. W szczycie obory było mieszkanko, nie wiedziałem, czy jest w nim ktoś. Na oknie nie było widać kwiatów doniczkowych ani firanek, domyśliłem się, że zapewne parują tu kartofle dla inwentarza. Po cichu otworzyłem drzwi i, nasłuchując, wszedłem do wewnątrz. Nikogo nie było, namacałem garnki z mlekiem. Z jednego garnka napiłem się. Ponieważ nic więcej nie znalazłem, wszedłem do stodoły, zakopałem się w siano i zasnąłem. Spałem krótko, gdyż przebudził mnie ból żołądka. Dostałem rozstroju po mleku, ale wyjść nie mogłem, bałem się, że mnie ktoś może nad ranem zobaczyć, do tego robiło się widno. Rozwolnienie mnie bardzo osłabiło, ale pod wieczór ból brzucha trochę ustąpił.

Przesiedziałem w tej stodole do około północy, potem udałem się do wioski. W pierwszym domu było ciemno, pomyślałem, że wszyscy śpią. Na podwórkę stały właściwie dwa domy: jeden duży, zbudowany z pruskiego muru był zamknięty. Pod szopą znalazłem starą marnarkę, ale była tak sztywna, jakby ją zmoczono w smole czy farbie, i nie mogłem jej na siebie włożyć. Zbliżyłem się więc do tego drugiego domu, ale był zamknięty, wejść do wewnątrz też nie mogłem. Z prawej strony wejściowych drzwi było półokno o normalnej wysokości, w którym na dole w rogu brakowało kawałka szyby. Włożyłem rękę, odsunąłem zasuwkę i otworzyłem okno. Wszedłem do wewnątrz obmacując wszystko delikatnie, natrafiłem na worki ze zbo-

żem i mąką, ale nie było nic do zjedzenia ani żadnego ubrania. Był to epichrz, z którego drzwi wychodziły na korytarz, gdzie były wejściowe drzwi z podwórka. Otworzyłem je z klucza jak szerokie, bym w razie czego mógł szybko uciec. Wchodząc przez okno epichrza, pozostawiłem trepy pod oknem. Vis-a-vis drzwi epichrza były drzwi do pokoju. Cichutko otworzyłem, nasłuchując, doleciał mnie odgłos chrapania. Sądziłem, że obok łóżka może być ubranie. Zaczęłem po ciemku macać, gdzie co jest i gdzie jest łóżko. Okazało się, że był to pokój stołowy i nikt tam nie spał, a chrapanie dochodziło z drugiego pokoju. Na stole namacałem jabłko w koszyczku, schowałem je szybko do kieszeni. Nieco dalej namacałem kawałek chleba, schowałem sobie za koszulę, aby nie stracić tak cennego pożywienia w razie jakiegoś popłochu. Następnie dobrałem się do szafy. Na wstępie namacałem sukienkę, potem drugą, ale dalej natrafiłem na jesionkę, którą z miejsca zawiesiłem sobie na lewej ręce. Potem znalazłem garnitur, był jeszcze jeden. W obawie, że może nie pasować, na wszelki wypadek zabrałem obydwie i zawiesiłem również na rękę. Na półce w szafie znalazłem czapkę narciarską i sweter. Z tym wszystkim wyszedłem na podwórze. Ponieważ butów żadnych nie znalazłem, idąc zabrałem spod okna trepy. Żadnych drzwi za sobą nie zamykałem, aby nie spowodować skrzypnięcia. Udałem się na przełaj przez pola w kierunku toru kolejowego i widocznej łuny, którą i nad ranem widziałem, opuszczając pociąg. Uszedłem polami około dwóch kilometrów i znalazłem się w sosnowym lasku. W nim się ubrałem, jeden garnitur był za duży, ale drugi w sam raz na mnie, jesionka też pasowała. Obawiając się, że może mnie ktoś śledzić, bym nie został całkiem nago, zdobyte ubranie włożyłem na pasiaki. Sweter był dziecięcy i również nie pasował. Czapka była troszeczkę za mała, ale rozbiłem ją i z biedą na głowę włożyłem. Za duży garnitur i sweter zakopałem w polu.

Szedłem teraz pieszo aż do wspomnianej łuny świateł. Było to dość daleko, ale innego wyjścia nie miałem, gdyż żadnego semafora nie spotkałem. Po drodze zjadłem kawałek chleba i dwa jabłka. Żywność musiałem oszczędzać, bo było ją bardzo trudno zdobyć. Doszedłem prawie do przedmieścia, nie wiedząc, która może być godzina. Natrafiłem na ogródki z altankami. Wybrałem jedną i postanowiłem w niej spędzić dzień. Urwałem kłódkę i wszedłem do środka. Znalazłem tam leżak, z czego się ucieszyłem. Podczas dnia oszczędnie pożywiłem się jabłkiem i chlebem. Pod wieczór zdjąłem pasiaki i schowałem w małej piwniczce pod podłogą altanki wraz z moim obywatelskim numerem 36132 na spodniach i bluzie. Wieczorem, może około godz. 19 czy 20 opuściłem altankę i udałem się w drogę. Dość sprawnie udało mi się okrążyć to nieduże miasteczko o nieznanej mi nazwie. Martwiłem się tylko, czy cały czas idę w dobrym kierunku. Czy nie jadę w głąb Niemiec - tego się strasznie bałem. Byłem słaby i nie chciałem iść do następnej stacji, chociaż czułem się trochę pewniej w cywilu. Po okrążeniu miasta i dojściu do toru wróciłem w kierunku miasta do stacji kolejowej. Idąc, wpadłem na pomysł, że kierunek trzeba śledzić po nalepkach na wagonach towarowych. Samo dojście do torów stacyjnych z boku było dość sprzyjające. Wejść na tory i między wagony nie mogłem. Stał tam transport wojskowy, było gwaro i rozmawiano po niemiecku. Czekałem może z godzinę. Odjechał jeden pociąg, gwar się uspokoił, pomyślałem, że zapewne ten wojskowy transport odjechał. Stał jeszcze jakiś pociąg. Ostrożnie podszedłem do niego, była przy nim lokomotywa ustawiona w kierunku jazdy zamierzonym przeze mnie.

Zdjąłem nalepkę z wagonu i podszedłem do słupa ze światłem.

Wyczytałem jakąś stację na nalepce, nie pamiętam nazwy, której nie znałem. Zdjąłem nalepkę z drugiego wagonu, przeczytałem "nach Krakau" i nie dowierzałem swoim oczom, wróciłem by ją zawiesić, ale dla pewności, czy dobrze przeczytałem, jeszcze raz podszedłem pod światło. Dobrze, Kraków - ucieszyłem się. Pomyślałem, że muszę się trzymać tego wagonu, to może trafię do Polski. Niedługo czekałem, pociąg ruszył. Wsiadłem do budki sąsiedniego wagonu do "Krakau" i pojechałem. W czasie jazdy zauważyłem, że gdybym nie wsiadł do tego pociągu, lecz ruszył pieszo nad torem, do którego trafiłem po okrążeniu miasta - byłbym szedł w jakimś innym kierunku, ponieważ tory rozchodziły się za stacją w dwa kierunki. Jechałem tym pociągiem około 4 godzin. Było po północy, pociąg na jakiejś stacji zatrzymał się. Na sąsiednim torze stał pociąg z wojskiem, może ten sam, co odjechał ze stacji, gdzie było gwar-
no.

Zsunąłem szybko trepy z nóg i po cichu opuściłem tory stacyjne. Na szczęście przestało padać i było widać gwiazdy. Koło stu metrów od torów ukryłem się w kępie krzaków przy jakimś rowie. Sądziłem, że transport odjedzie w pierwszej kolejności. Pomyślałem, że będę czekał, a skoro ruszy mój pociąg, to podbiegnę i pojedę dalej. Po chwili lokomotywa od transportu wojskowego odjechała na inny tor i pojechała z powrotem; a lokomotywa od mojego pociągu dojechała do pociągu z transportem wojska i po krótkim czasie transport z wojskiem odjechał. Domyślałem się, że zapewne zepsuł się parowóz i nastąpiła zmiana. Czekałem długo, pociągi przejeżdżały na biegu przez stację. Myślałem, że przyjedzie jakiś parowóz i pojedę. Było mi za długo czekać, zaplanowałem podejść pod budynek stacyjny, by zobaczyć, która godzina. Jeżeli dobrze pamiętam, było to 10 po godz. 4.

Nie było widoków na dalszą jazdę, zrezygnowałem z czekania, bo była pora szukać dziennego lokum. Uszedłem z 500 metrów - trafiłem na wieś. Podkradłem się do najbliższego domu; w podwórku był mały budynek gospodarczy z normalnym oknem. Nie było widać ani doniczkowych kwiatów, ani firanek, sądziłem, że nikt tu nie mieszka. Wszedłem ostrożnie, gdyż drzwi nie były zamknięte na klucz. Namacałem garnki z mlekiem, potem wirówkę. Mając nauczkę - nie korzystałem z mleka. Posunąłem się jeszcze dalej, kopnąłem w coś, pomacałem buty, których było ze trzy pary. Ucieszyłem się. Wyszukałem po ciemku, by był lewy i prawy, przyłożyłem jeden do drugiego - ta sama wielkość. Uniosłem nogę przyłożyłem do trepa - mniej więcej ta sama wielkość. Były przy tych kamaszach i sznurowadła. Zabrałem więc tę parę butów i w obawie, że spostrzegą brak jednej pary - poszedłem polami na drugi koniec wioski. Wszedłem do ostatniego gospodarstwa do stodoły. Po drodze w polu zagrzebałem trepy i założyłem na nogi kamasz; były trochę luźne, ale można było wytrzymać. Zagrzebałem się w jeszcze nie wymłóconym życie w siewku i przesiedziałem cały dzień oraz zjadłem resztę pożywienia. Cieszyłem się, że wreszcie się już przebrałem i pozbyłem trepów. Mimo tego i tak nie mogłem we dniu podróżować bo z butów, jakie wybrałem - lewy był brązowy, a prawy czarny i do tego wygolona na głowie sztrajfa w razie czego z miejca by mnie zdradziła. Dlatego musiałem unikać w dalszym ciągu ludzi.

Wieczorem wyszedłem ze stodoły, byłem głodny. Zacząłem szperać po kopcach za marchwią przy tym i sąsiednim gospodarstwie. Natrafiłem na kopiec z brukwią, zabrałem dwie duże brukwie i udałem się do stacji kolejowej, na której zostawiłem pociąg z wagonem "nach Krakau". Pociągu tego już nie było. Obmyłem brukiew w

rowie kolejowym, rozłupałem, uderzając o szynę, na kawałki, zacząłem jeść i udałem się do semafora wjazdowego. Dokonałem eksperymentu z tarczą ostrzegawczą, potem z semaforem. Około godz. 22,30 odjechałem pociągiem towarowym. Wsiadłem do węglarki załadowanej kamieniami. Pocieszałem się tym, że jadę torem, który kieruje mnie do ojczyzny. Brukiw wyrzuciłem, bo była tak niedobra, że mimo głodu reszty jej nie mogłem zjeść.

Ujechałem kawał drogi, przyhamowałem pociąg i wyskoczyłem, bo głód mi dokuczał i czułem, że całkiem jestem zmarznięty i słaby. Udało mi się raz, więc postanowiłem zaryzykować, wejść gdzieś do mieszkania i zdobyć coś konkretnego do zjedzenia. Wszedłem na podwórko w jakiejś wiosce, drzwi do mieszkania były zamknięte. Przyglądałem się przez szybę okna wewnątrz mieszkania i dostrzegłem na stole, który stał pod oknem, pół bochenka wiejskiego chleba. Nie miałem się jak dostać do tego chleba, ale znalazłem na podwórku drewno i wziąłem jeden kołek - ubzdurałem sobie, że jak energicznie końcem uderzę w szybę, to nie będzie bardzo słychać, i tak zrobiłem. Szyba wprawdzie wyleciała choć narobiła straszego brzęku, bo poleciała aż na posadzkę, ale nie patrzyłem na to, szybko sięgnąłem ręką po chleb. W tym czasie otworzyło się drugie okno na tej samej ścianie poza wejściowymi drzwiami i jakaś Niemka zaczęła się drzeć na całe gardło. Ja z chlebem pod pachą w nogi i uciekałem aż do toru kolejowego, a potem do następnej stacji. Uzedłem może z 5 kilometrów. Nagle wśród ciemności, w niedużej odległości spostrzegłem most i dość wysoko nad torem prześła mostowe. W obawie, że most może być strzeżony przez wartę niemiecką oddaliłem się od toru w bok, by lepiej widzieć, czy nie chodzi wartownik. Kucnąłem na łące, przyglądałem się na most pod górę - zauważyłem, że jakby ktoś stał. Dla pewności poszedłem nad rzekę czy kanał może z kilometr, nie było żadnego mostu kołowego. Rozebrałem się do naga, spakowałem wszystko, co miałem razem z chlebem w jesionkę, i wpław przez rzekę o głębokości, jak się okazało, pod pachy. Przebrnąłem lodowatą wodę i po drugiej stronie się ubrałem. Potem, na ile mi tylko siły pozwoliły zacząłem biec, by się rozgrzać. Później było mi bardzo ciepło. Pojadłem chleba, popiłem trochę wodą z rowu, głód zaspokoiłem i poczułem się trochę jakby silniejszy. Szedłem jeszcze dość długo, nim się dostałem do semafora. Po dokonaniu manipulacji, wsiadłem znów do pociągu towarowego. Jechałem może z godzinę czy półtorej i zdawało mi się, że będzie zapewne nad ranem. Dłużej bałem się jechać. Było dla mnie ważne, że odjechałem dość daleko od tego miejsca, gdzie zabrałem chleb i narobiłem szumu. W godzinach rannych pociąg przyhamowałem i wyskoczyłem. Zacząłem szukać kryjówki, abym mógł spokojnie przesiedzieć cały dzień. Wśród ciemności widziałem jakieś kontury. Były to ruiny po cegielni czy jakiejś fabryce. Tam nie było gdzie się skryć. Idąc dalej, zobaczyłem jakieś gospodarstwo. Przeszedłem drogę brukowaną i wszedłem furtką na podwórko o dość dużych rozmiarach. Dom duży, jednopiętrowy, obora długa i ogromna stodoła. Sądziłem, że to jakiś bogaty gospodarz. Chciałem wejść do stodoły, nie mogłem, bo była zamknięta na dużą kłódę jak nigdzie. Zamierzałem wejść do obory - też pozamykane. Wreszcie w szczycie stodoły przy drodze, na dole pogęgiwały gęsi - też zamknięte. Jedynie nad gęsiami był strych z małymi drzwiczkami, który nie był zamknięty i stała podstawiona drabinka. Wszedłem po drabince do góry na ten stryszek - było pełno siana. Zrobiłem dziurę w sianie i przykryłem się nim. Byłem bardzo zmęczony i mimo nerwów szybko zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, gdy się przebudziłem było

zupełnie widno, a nawet od czasu do czasu pokazywało się słońce. Chwilami padał deszcz. Wylazłem ze swego legowiska, poczołgałem się po sianie do luki przewiewu w murowanej ścianie, by zobaczyć, co się dzieje na podwórku. I w tym momencie ujrzałem na schodach domu stojącego z gołą głową oficera SS.

W pierwszej chwili cały zdrętwiałem, ale oprzytomniałem i pomyślałem, że zapewne przyjechał na urlop. Może wieczorem gdzieś wyjdzie, ale jeśli będzie siedział w domu, to i tak się wydostanę. Powróciłem do legowiska, nakryłem się sianem i czekałem wieczora. Zasnąć jednak już nie mogłem. Sam widok SS-mana nerwy mi rozstroił.

Upłynęły prawie dwie godziny, dochodził mnie głos maszerującego wojska, jakby szli drogą brukowaną. Coraz to wyraźniej słyszałem tupot butów z gwoździami. Zaniepokoiło mnie to i nerwy nie dały mi spokojnie leżeć. Wyszedłem z legowiska, podciągnąłem się do luzu przewiewowego w ścianie i, o dziwo! zobaczyłem, że to wojsko to jacyś jeńcy. Każdy z nich miał na plecach napisane czerwoną farbą duże litery "SU" i cała ta kolumna skręciła na podwórko. Ustawili się, a SS-man ich przeliczył. Przepuszczalnie było ich około 200 ludzi. Potem kilku zostało, a reszta weszła do jedno-piętrowego domu. Wtedy zauważyłem, że okna tego domu są zakratowane. Ci, co pozostali, coś robili - prawdopodobnie oprząkali żywy inwentarz. Nie mogłem dokładnie widzieć, co robią, bo róg stodoły mi zasłaniał. W tym czasie doleciał mnie głos rozmowy po rosyjsku i już nie miałem wątpliwości, że to jeńcy rosyjscy. SS-man stał z automatem po środku podwórka. Nagle idzie jeden z jeńców w moim kierunku. Szybko schował się w siano w legowisko. Jeniec ten wszedł po drabince, zrzucił siano i zaraz zszedł. Byłem w strasznym napięciu. Po niedługim czasie zrobiło się gwaro na podwórku. Szwab krzyczał "ryhe". Wyjrzałem znów. Ustawili się i po przeliczeniu poszli prowadzeni przez SS-manów tą samą drogą. Zrozumiałem, że to jakaś gospodarka więzienna i jeńcy poszli do pracy. Wtedy nerwy i krew zaczęły we mnie działać. Zastanawiałem się, w jaki sposób tu wszedłem, że mnie nikt nie zauważył. Zadawałem sobie pytanie, czy wartownik spał, czy też nie mają warty w nocy na zewnątrz. Z tego dostałem temperatury, że wprost mi wargi zaczęły pękać. Przemysliwałem, w jaki by sposób z tego więzienia się wydostać i w jakim czasie byłoby najbezpieczniej. Wyjście miałem tylko jedno, i to w kierunku podwórka. Około 17 czy 18 jeńcy znów zostali przyprowadzeni na podwórko; po przeliczeniu kilku zostało, reszta weszła do więzienia i wtedy zapaliło się światło. Okna były normalnej wielkości, więc dobrze widziałem, jak się myli, a potem przeszli do następnego pomieszczenia i rozstawiali miski na stołach. SS-man znów stał na podwórku i znów ktoś wszedł po siano, zrzucił na dół i zszedł. Niedługo zaczęło padać, a po paru minutach był to już ulewny deszcz. SS-man odszedł ze środka podwórka, być może się skrył przed deszczem. Coś mnie w tej chwili poniosło, zszedłem cichutko po drabince na dół, korzystając, że róg stodoły mnie zasłania, przedostałem się przez półtorametrowy parkan i brukowaną poszedłem wolnym krokiem około 50 metrów za stodołę. Potem przez pole w kierunku toru kolejowego. Miałem tak ogromne pragnienie, że z napotkanej kałuży piłem wodę. Ochłonałem już trochę z tego napięcia. Deszcz wkrótce przestał padać, więc ruszyłem nad torem, by dojechać do najbliższego semafora; w dali przede mną lśniło czerwone światło. Cieszyłem się, ale niestety, jak szedłem, tak szedłem, i nie mogłem dojechać do czerwonego światła. Po upływie długiego czasu okazało się, że to były jakieś wysokie maszty, ocygnalizowane czerwonymi światłami. Przemokłem doszczętnie, poobciera-

łem nogi, nie miałem siły iść i nie wiedziałem, jak jeszcze długo. A kilometrowy odcinek drogi kosztował mnie co najmniej 30 minut czasu. Wreszcie około północy doszedłem do semafora. Od czasu do czasu musiałem iść po rozmokłym polu, omijając przejazdy i niebezpieczne miejsca, to mnie jeszcze gorzej wyczerpywało. Dokonałem manipulacji jak zwykle z tarczą ostrzegawczą i semaforem. Z trudem doczekałem się i wsiadłem na pociąg. Około godz. 5 opuściłem pociąg, bo nadszedł czas szukania kryjówki na dzień. Tym pociągiem podjechałem w pobliże nie znanego mi miasta, orientując się znów po światłach, chociaż były przeważnie przyciemnione, ale jeszcze dobrze widoczne. Po opuszczeniu pociągu udałem się w kierunku jakichś zabudowań. Była to tylko sama stodoła w polu - niedaleko od toru. Nie mogłem do niej wejść, bo była zamknięta, a nie chciałem urywać kłódki, gdyż byłoby jasne, że ktoś był lub jest w stodole. Zrezygnowałem. Ponieważ było to w pobliżu miasta, przypadkowo natrafiłem na ogródki działkowe i znów zamieszkałem w jednej z altanek. Była zbudowana jak domek, miała kuchnię i komin. Miałem jeszcze chleb, głód mi tak nie dokuczał, ale zaczął mnie boleć żołądek. Z przyjemnością skorzystałem z polowego kózka, które było złożone i stało pod ścianą w altance. Ze zmęczenia zasnąłem, ale na krótko, bo było mi zimno i do tego miałem przemoczone ubranie. Wpadłem na pomysł i gdy zrobiło się ciemno, poszedłem na tor do tarczy ostrzegawczej, a było niedaleko, i zabrałem jedną lampę z ogniem. Skryłem ją pod jesionką, by nie było widać światła, i przyniosłem do altanki, w której rozpaliłem ogień, korzystając z tyczek od fasoli. Były one pod ścianą i dachem. Lampę zaraz z powrotem odniosłem. Wracając włamałem się do innej altanki i znalazłem garnek. Po drodze, z kręgu betonu /widocznie służył do grzania wody i podlewania/, nabrałem wody, przyniosłem do rozpalonego ognia i zagotowałem, a potem nałamałem chleba i wrzuciłem do wrzątku. Zrobiła się zupa chlebowa, niesłona, ale gorąca. Najadłem się i dobrze rozgrzałem. Po kolacji uważałem, że już mogę wyruszyć. Po wyjściu z altanki okrążyłem miasto w dość wczesnych godzinach wieczornych. Po drodze napotkałem jakiś tor kolejowy, jednotorowy. Udałem się tym torem i doszedłem do przejazdu nie strzeżonego. Jeszcze przed przejazdem z lewej strony toru, gdzieś z kierunku pola, dochodził tor kolejki wąskotorowej. Od przejazdu tory te były ogrodzone wysokim parkanem cementowym. Trzymałem się szerokokotorówki. Za przejazdem tor ten w odległości kilometra się kończył, wchodził pod wysoki budynek stojący na filarach, pod którym były podstawione wagony. Widziałem kręcących się tam ludzi i blisko nie podchodziłem. Domyśliłem się, że to jakaś fabryka lub kopalnia. Do dziś nie wiem dokładnie, co to było. Nie było możliwości pójść dalej - więc wracałem do wspomnianego przejazdu. Zauważyłem, że naprzeciw mnie idzie dwóch wojskowych Niemców. Możliwości ucieczki nie miałem, zresztą i tak by mnie złapali lub zastrzelili, bo zaszliśmy się zbyt blisko. W dodatku byłem słaby, to i tak bym daleko nie odbiegł. Nie wiem, skąd mi nadleciała błyskawicznie myśl. Na szczęście leżała duża kupa złomu i obok stały dwa wagoniki na szynach. Nie zastanawiałem się ani sekundy, zacząłem ładować do tych wagoników leżący tam złom. Niemcy podeszli na wprost mnie, zobaczyłem, że są to żandarmi, ale tylko popatrzyli na mnie i bez słowa poszli dalej. Skoro odeszli w kierunku fabryki, o której wspomniałem, ja, szybkim krokiem, ze spoconą ze strachu twarzą podbiegłem do nie strzeżonego przejazdu. Na wysokości fabryki niespodziewanie natrafiłem na stację kolejki. Gdy przechodziłem torem obok niedużego budynku stacyjnego, zauwa-

żył mnie kolejarz Niemiec, który wyszedł na próg swego biura i po niemiecku mówił, że nie wolno tu chodzić.

Choć po szwabsku mówię niebardzo, ale bez namysłu, trochę spod nosa, odpowiedziałem, "Hern aba de chundet mejte", jednocześnie machnąłem ręką i poszedłem dalej. Niemiec się tym zadowolił i wszedł do swego biura. Pot znowu wystąpił mi na czoło i zrobiło mi się gorąco, ale jakoś przeszło. Za stacją około 300 metrów tor kolejki skręcał w lewo gdzieś w pole, tak że nie odpowiadał mi kierunek. Udałem się w prawo, gdzie było widać światła. Po drodze spotkałem na dość wysokim nasypie tor kolejowy. Widocznie po nim pociągi nie jeździły, bo szyny nie były wytarte od kół pociągu. Udałem się znów tym torem, akurat w kierunku światła, które poprzednio widziałem.

Szedłem ze 2 kilometry i doszedłem do stacji kolejowej, położonej poprzecznie do toru, po którym szedłem na dole, lecz tor ten przebiegał mostem nad torami stacji gdzieś dalej. Zszedłem z nasypu, obszedłem z dala, upatrzyłem najdogodniejsze miejsce, na dojście do stojących na stacji składów wagonów. Szperałem po nalepkach kierunkowych na wagonach. Chwilowo nie mogłem natrafić na nazwę stacji, którą bym znał. Wreszcie, w następnym składzie, znalazłem wagon, na którym była nalepka z napisem stacji docelowej "nach Petrikau". Czyżby rzeczywiście do Piotrkowa Trybunalskiego? Była to węglarka, więc zajrzałem, czym jest załadowana? Była pełna odłamków szkła z szyb i innymi. Wiedziałem, że w Piotrkowie jest huta szklana, więc już nie wątpiłem, że pojedzie do Piotrkowa Trybunalskiego. Na wszelki wypadek zdjęłem jeszcze jedną nalepkę z sąsiedniego wagonu-platformy i wyczytałem "nach Tchenstochou". Wagon do Częstochowy był załadowany pionowo kręgami drutu tak, że trzy rzędy drutu stworzyły trzy rury. Postanowiłem się tych wagonów trzymać. Wszedłem do środkowej rury z kręgów drutu na wagonie bojąc się, że w pierwszej z brzegu mógłby mnie zauważyć jakiś kolejarz. Czekałem dosyć długo. Zmarzłem, ale siedliska w drutach nie opuszczałem. Wreszcie doczepili parowóz i wkrótce pociąg ruszył. Jechałem dosyć długo, lecz od czasu do czasu pociąg się na krótko zatrzymywał. Po pewnym czasie wjechałem na dość dużą stację, ale z kręgów drutu nie wychodziłem. Następnie cały ten pociąg wciągnięto na górkę rozrządową, by dokonać manewrów z wagonami. Potem jeszcze kilka razy przetaczano wagon, w którym siedziałem. W końcu sformowano cały skład. Myślałem, że odjadę, niestety, cały ten skład wypchnęli na inny tor i bez lokomotywa stał długo na torze odjazdowym, gdzieś w końcu stacji. Deszcz dość mocno padał, byłem zupełnie przemoczony i zmarznięty. Nie mogłem już wytrzymać dłużej, zaryzykowałem opuścić wagon-platformę. Skryłem się w budce hamulcowej przy wagonie krytym, usytuowanej wysoko, w tym samym składzie pociągu.

Przesiedziałem tam może 15 do 20 minut, nagle słyszę, idzie ktoś obok wagonów. Coś postukało jakby po kołach i wreszcie wchodzi ktoś po schodkach do góry, gdzie siedziałem, w budce hamulcowej. Zadrżałem ze strachu. Nie wiedziałem, co robić, ale natychmiast oprzytomniałem i złapałem go ręką żelazny płaskownik, który wiozłem jeszcze z fabryki Kruppa. Otwierają się drzwi budki i po polsku: "A co pan tu robi? Zostaw pan to żelazo". Ja pytam: "A kto pan jest, Polak czy Niemiec?" On mi odpowiada: "Polak, nie widzi pan, że kolejarz. Jestem rewidentem wagonów, ale dokąd pan chce jechać?" Jakies takie poczułem zaufanie do tego kolejarza i zapytałem, co to jest za stacja. Odpowiedział, że Łazy. Podziękowałem i pytam, gdzie jest granica Rzeszy i Generalnej Guberni.

"W Poraju - odpowiedział - 40 km za łożami. Ale skąd pan jedzie?". Odważyłem się wyznać mu szczerze całą moją sytuację i powiedziałem, że uciekłem z obozu koncentracyjnego, udowadniając wygoloną sztrafą na głowie. "W Poraju pociągi kontrolują" powiedział i zaproponował mi by wejść w węgiel, a on mnie przykryje. Próbowałem, ale nie było możliwe wysiedzieć i wytrzymać ciężaru na plecach. Wyszedłem i wpadłem na pomysł, żeby wejść do wagonu krytego, oczywiście ładowanego i zaplombowanego. Wagon z budką hamulcową gdzie poprzednio siedziałem i w której mnie wykrył kolejarz,jechał do Grodziska pod Warszawą. Wszedłem na schodki budki hamulcowej, wybiłem okrągłą szybę, jaka była w klapie luki wagonów i odbiłem deskę, którą cała kłapa była od wewnątrz zabita. W wybitą szybę włożyłem rękę, odchyliłem zasuwę i kłapa okna wagonu otworzyła się do wewnątrz. Pomógł mi kolejarz, znalazłem się w środku wagonu, gdzie były jakieś paczki. Jedną zaraz rozerwałem, była to soda w szarych torebkach po 1 kg. Kolejarz wyciągnął woreczek z za pasa i podał mi, bym mu naładował. Naładowałem, ile weszło, powiedział, że zaraz wróci i przyniesie mi coś do zjedzenia. Umówiliśmy się, że zastuka w zderzak trzy razy, a w międzyczasie kazał mi splądrować, co jeszcze w tym wagonie jest i by mu jeszcze coś naszykować z wyjątkiem sody. Był to ładunek z różnych towarów: rur do kuchenek, gwoździ, kolan do rur, sienników papierowych, szczotek do zamiatania i butów, termosów i jeszcze innych rzeczy. Wkrótce kolejarz wrócił i przyniósł mi kawy z mlekiem, do tego słodzonej, i chleba z margaryną. Ja w zamian załadowałem mu worek szczotek do zamiatania wraz z kilkoma termosami i na tym się wymiana zakończyła. Uprzedził mnie jeszcze, że już więcej nie przyjdzie, bym przypadkiem nie otwierał luku na jakiś nieprzewidziany stuk. Wkrótce potem doczepili parowóz i w niedługim czasie pociąg odjechał. Do Poraju było 40 km, miałem trochę czasu, więc zabrałem się do roboty, pozamykałem i zabiłem deskę na okno wagonu, by nie budziło podejrzenia, że może ktoś być w wagonie. Wprawdzie brak było w klapie okna wagonu jednej okrągłej szybki, a było ich dwie, ale druga pozostała w porządku. W czasie jazdy z łoż do Poraju, przygotowałem sobie w ładunku wagonu wejście w głąb, niemal do podłogi wagonu, a następnie zjadłem podarowany mi przez kolejarza posiłek. Nie wiedziałem, czy przypadkiem na granicy nie rozplombują wagonów, czego się bardzo bałem, ale zarazem się pocieszałem, że mam dobre schowanko w głębi ładunku. Czas mi się dłużył, ale wreszcie pociąg się zatrzymał. Nie byłem pewny, czy to Poraj, czy inna stacja. Godziny nie znałem. Na wszelki wypadek zakopałem się w głębi ładunku. Po około 20 minutach usłyszałem rozmowę niemiecką. Naraz buch, buch, ktoś wali jakby pięścią w ścianę czy drzwi wagonu, w którym siedziałem. Drżałem cały ze strachu zatrzymując oddech, gdyż wydawało mi się, że mnie usłyszą. Słuchałem, czy aby nie otwierają drzwi wagonu. Po chwili doleciał mnie głos, podobny do psiego skowyczenia czy ziewania. Poczułem się jeszcze gorzej i spociłem się jak mysz, bo myślałem, że pies mnie może wyczuć. Wagonu nie otwierali na szczęście. Naraz słyszę, że ktoś wchodzi po schodkach do budki hamulcowej, która była przy tym wagonie. Wreszcie ucichło i zapanowała cisza. Pomyślałem, że chyba już odeszli. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie pociąg ruszy w drogę. Wydawało mi się, że stoi on już cały dzień. Upłynęło jeszcze dość dużo czasu, kiedy nareszcie pociąg szarpnął i ruszył. Odjeżdżając, wyjrzałem przez szybkię po przeciwnej stronie wagonu, gdzie wchodziłem. Jednak był to Poraj. Ulżyło mi na duszy, strach mnie odleciał.

Jadąc już do Częstochowy, zastanawiałem się, jakim cudem znalazłem się na Śląsku. Przyszedłem do wniosku, że jednak gdzieś zbiłądziłem i pojechałem w złym kierunku. Lecz mimo wszystko tamto już dla mnie nie było ważne, cieszyłem się, że mnie do tej pory nie złapali, i że jestem prawie już w znanej mi nieco okolicy, jak Łazy, Częstochowa. Liczyłem wtedy na to, że szczęśliwie dojadę w okolice Koluszek, mając już poza sobą całą gehenną podróży. Około godz. 15 czy 16 dojechałem do Częstochowy. Wyglądało na to, że dokonują manewrów przy odczepianiu, a może i doczepianiu wagonów, gdyż dało się odczuć szarpnięcia składem pociągu. Straciłem całkowicie orientację co do daty i dnia tygodnia. Po pewnym czasie pociąg ruszył i odjechałem z Częstochowy. Wówczas na całego zacząłem plądrować w ładunku. Okazało się, że nic więcej nie było, niż poprzednio znalazłem. Był wieczór, gdy przyjechałem do Piotrkowa Trybunalskiego. Pociąg zatrzymał się na stacji towarowej. Po dokonaniu prawdopodobnie manewrów z wagonami, co trwało mniej więcej około dwóch godzin, odjechałem z Piotrkowa Trybunalskiego.

Teraz zastanawiałem się, gdzie wysiąść z pociągu i dokąd pójść, aby było bezpiecznie. Rodzice moi mieszkali pod Koluszkami, w Będzielanie, dom stał pod lasem, pomyślałem, że tak od razu, nie znając sytuacji, niebezpiecznie jest iść do domu, który może być pod obserwacją. Postanowiłem, że pójdę do wujka we wsi Pogorzale-Ługi, tj. 5 km przed Koluszkami. Jadąc z Piotrkowa przygotowałem sobie do zabrania kilka termosów, kilka szczotek do zamiatania na kij i jeden papierowy siennik.

Około godz. 21 przejechałem przez stację Rokiciny, otworzyłem lukę wagonu, którą wszedłem, i nogami naprzód wysunąłem się na zewnątrz, wisząc z boku wagonu. Wreszcie prawą nogą namacałem Schodek prowadzący do budki hamulcowej tuż przy narożniku wagonu, a drugą nogą koniec szyny, po której suwały się na kółkach drzwi wagonu. Potem lewą ręką trzymałem się ściany w otwartej luce wagonu, a prawą pojedynczo powykładałem szczotki i termosy oraz siennik na podłogę budki hamulcowej. Kiedy wisiałem z boku wagonu, strach mnie ogarnął, by przypadkiem po sąsiednim torze nie nadjechał pociąg, bo wtedy mógłby mnie czymś zaczepić za łachy. A popełniłem głupstwo, że nie zdjąłem jesionki, tylko w niej wychodziłem z wagonu. Luki nie zamykałem i już w budce powykładałem wszystko do siennika.

Ponieważ wkrótce znalazłem się w pobliżu na wprost zabudowań wujka, który mieszkał 300 metrów od toru, przyhamowałem pociąg i z przygotowanym pakunkiem wyskoczyłem. Przebiegłem pas pola nad torem i skryłem się w świerkach, które rosły przy torze. Pociąg powoli odjechał, a ja wraz z pakunkiem udałem się do zabudowań wujka. Wszyscy już spali. Furtka była zamknięta, nie mogłem wejść na podwórko, delikatnie więc rzucałem pacynkami ziemi w szybę. Przebudziło to wujka, podszedł do okna, zapytał, kto tam, ale nie otwierał. Ja półgłosem prosiłem, by mi otworzyli, krzycząc nie mogłem, bo po sąsiedzku mieszkał folksdojcz. Wreszcie córka wujka poznała mnie po głosie i w pośpiechu wpuścili mnie do mieszkania. Zjadłem skromną kolację i udałem się spać do stodoły, oczywiście już pod pierzyną i po uprzednim umyciu się i zmianie bielizny. Spałem w stodole dlatego, że często przychodził ktoś do wujka od folksdojcza.

Nazajutrz rano córka wujka pobiegła do drugiego wujka, który mieszkał niedaleko komory celnej, by przyszedł ktoś od niego z maszynką do włosów. W niedługim czasie zjawił się najstarszy syn, Zygmunt Smarz. On mi ostrzygł głowę "na pałkę" i pozbyłem się

sztrafjy. Był to 28 listopada 1944 r. Powiadomiono także i moją matkę, która pośpiesznie przyszła i przyniosła mi moje ubranie wraz z butami, dzięki czemu rozstałem się ze zdobytymi butami, z których lewy był brązowy a prawy czarny.

Radości, jaka zapanowała w rodzinie i spotkania z matką nie będę opisywał, zapewne każdy to sobie wyobraża. Mama moja zapewniała mnie, że nie ma podejrzania, aby ich dom był pod jakąś obserwacją, i prosiła, bym poszedł do domu choć na trochę, bo ojciec leży chory. Zaryzykowałem i poszedłem, wprawdzie na krótko wieczorem i tylko jedną noc przenocowałem, gdyż jednak bałem się, że mogą mnie szukać. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak blisko jest front, i że tak szybko szwabów przepędzą. We wsi Stare Koluszki miałem krewnego Stanisława Dziedzińskiego i tam się ukrywałem. Potem zachorowałem na zapalenie płuc, leżałem przez 3 tygodnie i dopiero po długim leczeniu jakoś się wykaraskałem. Ale musiałem od Dziedzińskiego uciekać, bo najechało się Niemców do lasu i do wsi, było ich dużo, w ogóle ruch się zrobił. Byłem niepewny u krewnych, zresztą i oni sami o siebie się bali. Przeniosłem się bliżej Koluszek do znajomych, do pana Długosza, i u nich na strychu spałem. Rodzina przynosiła mi jedzenie, ale moi gospodarze także mnie żywili.

18 stycznia 1945 r. byłem już zupełnie wolny. Zawdzięczam to Armii Czerwonej, która w tym dniu rano wyzwoliła Koluszki, a mnie ocaliła przed śmiercią i przyniosła mi wolność.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.4

"AL Capone"
 CZĘŚCIOWY WYKAZ WIĘŹNIÓW KOMANDA FÜNFTTEICKEN
 przez który przeszło ponad 7 tysięcy więźniów

Lp.	Nazwisko i imię	Data uro- dzenia	Narodo- wość	Nr obozowy więźnia	U w a g i	
					5	6
1	"Al Capone"					
2	Alosze			3084		blokowy zastrzelony w transp. ewakuak.
3	Andrejszyn Stefan	17.09.1914	P			
4	Arszuliew Stiepan		R			
5	Augustyniak Michał		P			zmarł w obozie
6	Bajko Leon	2.05.1913	P	6384		zmarł w obozie
7	Baran Stanisław	5.01.1912	P	23716		
8	Beker Aleksander	1.10.1922	P	9061		
9	Berny Tadeusz	15.05.1898	R	1997/II		stracony 10.8.44
10	Bieloch Aleksander	14.11.1911	P			
11	Bill Henryk	3.06.1915	P	23726		
12	Bodera Władysław					
13	Bonerko Michał	1.07.1922	P	34888		zmarł we Floss.
14	Brodzki Apoloniusz	1.01.1925	P	34887		zmarł w obozie
15	Brodzki Tadeusz	10.09.1920	P	34889		
16	Brodzki Zdzisław	15.04.1914	P	8633		zmarł w obozie
17	Budzyński Władysław		R			zmarł w obozie
18	Cariow Szurka	26.09.1923	P			
19	Chmieloch Henryk		P			
20	Ciapała Stanisław		P			
21	Cieśła Adam		P			
22	Cisner Abraham		P			
23	Cukier Paweł	5.07.1909	P	30493		rozstrzelony 19.6.44
24	Czarnowski Kazimierz		P			
25	Czerwiński Zygmunt	28.08.1923	P	36132		uciekł z obozu
26	Danielczyk Henryk	4.09.1924	P	36776		
27	Dębski Czesław	30.01.1919	P			
28	Długosz Piotr		P			
29	Dutkiewicz Wacław	10.03.1922	P			
30	Dutkiewicz Zdzisław					

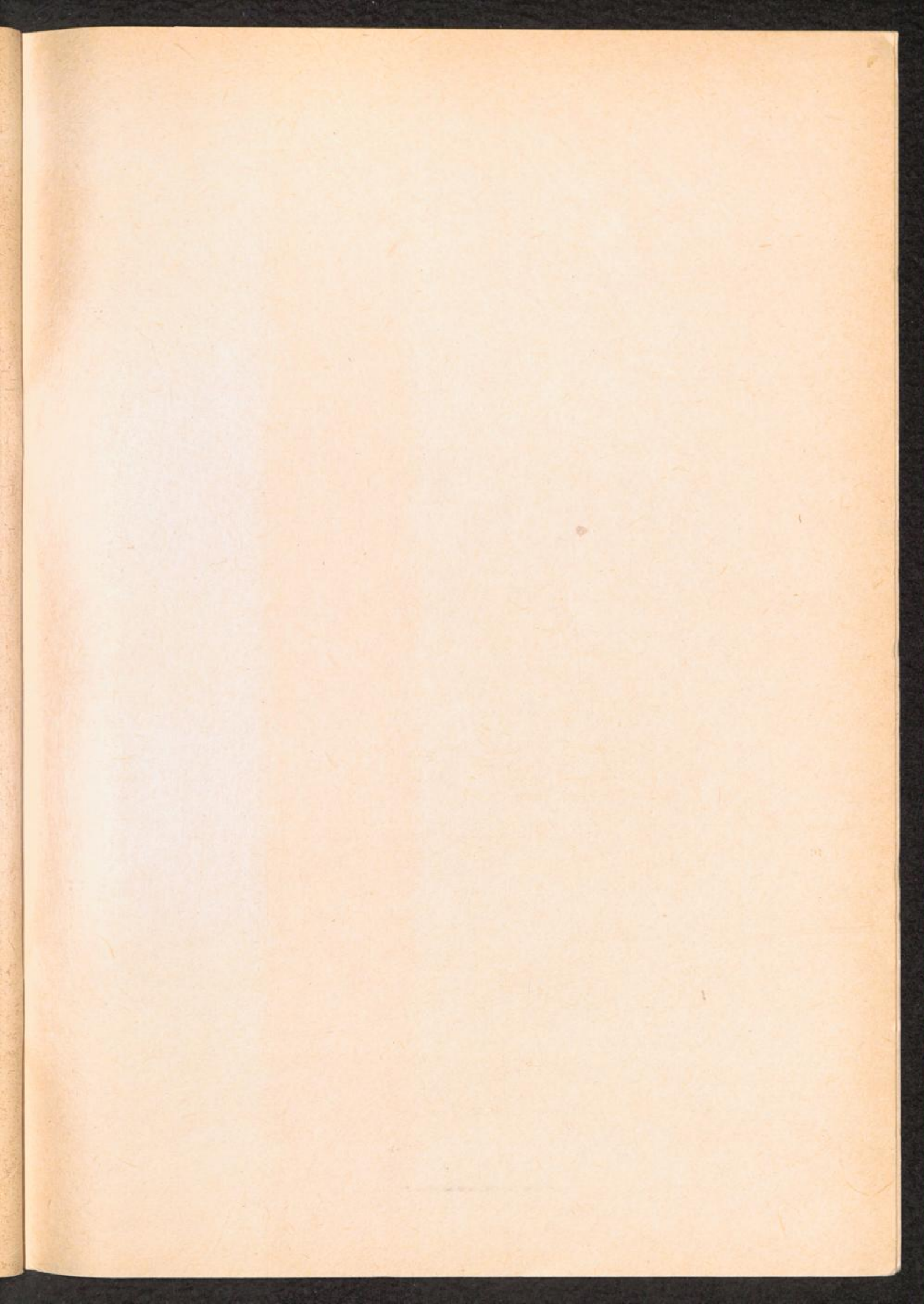
1	2	3	4	5	6
31	Dziubiński Leonard	24.11.1917	P		
32	Fabjański Tadeusz	1.01.1925	P	42713	
33	Forys Władysław	22.08.1908	P	23791	
34	Frankiewicz Stanisław		P	23794	
35	Frydrych Narcyz	15.10.1914	P	34925	
36	Gajowiec Leon	15.03.1909	P	23817	
37	Góralski Mieczysław	14.12.1914	P		zmarł w obozie
38	Gramatyka Aleksander		P		
39	Guj Stanisław		P		
40	Gurzyński Kazimierz		P		
41	Halicki Aleksander	9.08.1910	P		
42	Hermanowicz Stanisław	4.01.1921	P	23830	
43	Hołubiak Karol	30.06.1922	P		
44	Hynek Franciszek	1.12.1897	P	6063	
45	Iżyłowski Zdzisław		P		zmarł w obozie
46	Jaczewski		P		
47	Jagiello Władysław	2.06.1921	P		uciekł z obozu
48	Janczewski Ryszard	29.04.1917	P	34872	zmarł w Leitneritz
49	Jerke Jerzy		P		
50	Kaczanowicz Tadeusz		P		
51	Kaczor Zygmunt		P		
52	Kanengiser Alfred	5.08.1904	P	25978	
53	Kapitan Józef		P	4008	
54	Kidawa Feliks	20.11.1926	P	8289	
55	Kobus		P		zmarł w obozie
56	Kobyliński Józef	26.09.1897	P	27857	
57	Kocik Franciszek	3.01.1917	P		
58	Kolenda Wacław	20.06.1917	P	10012	
59	Kondrak Jerzy	31.07.1922	P	26897	
60	Kosiński Leonard	28.09.1919	P	23883	
61	Kossowski Marian	24.09.1907	P	16370	
62	Krakowiak Józef		P		
63	Krawczyk Tadeusz	15.04.1918	P		
64	Krawiec Władimir	25.05.1926	R	14801	stracony 14.10.44
65	Kruk-Rostański Mieczysław	20.03.1901	P	17547	
66	Krusiec Andrzej		P		zmarł w obozie
67	Kucharczyk Roman		P	34482	
68	Katuszenko Anastazji	10.01.1925	R		zastrzelony podczas ewakuacji

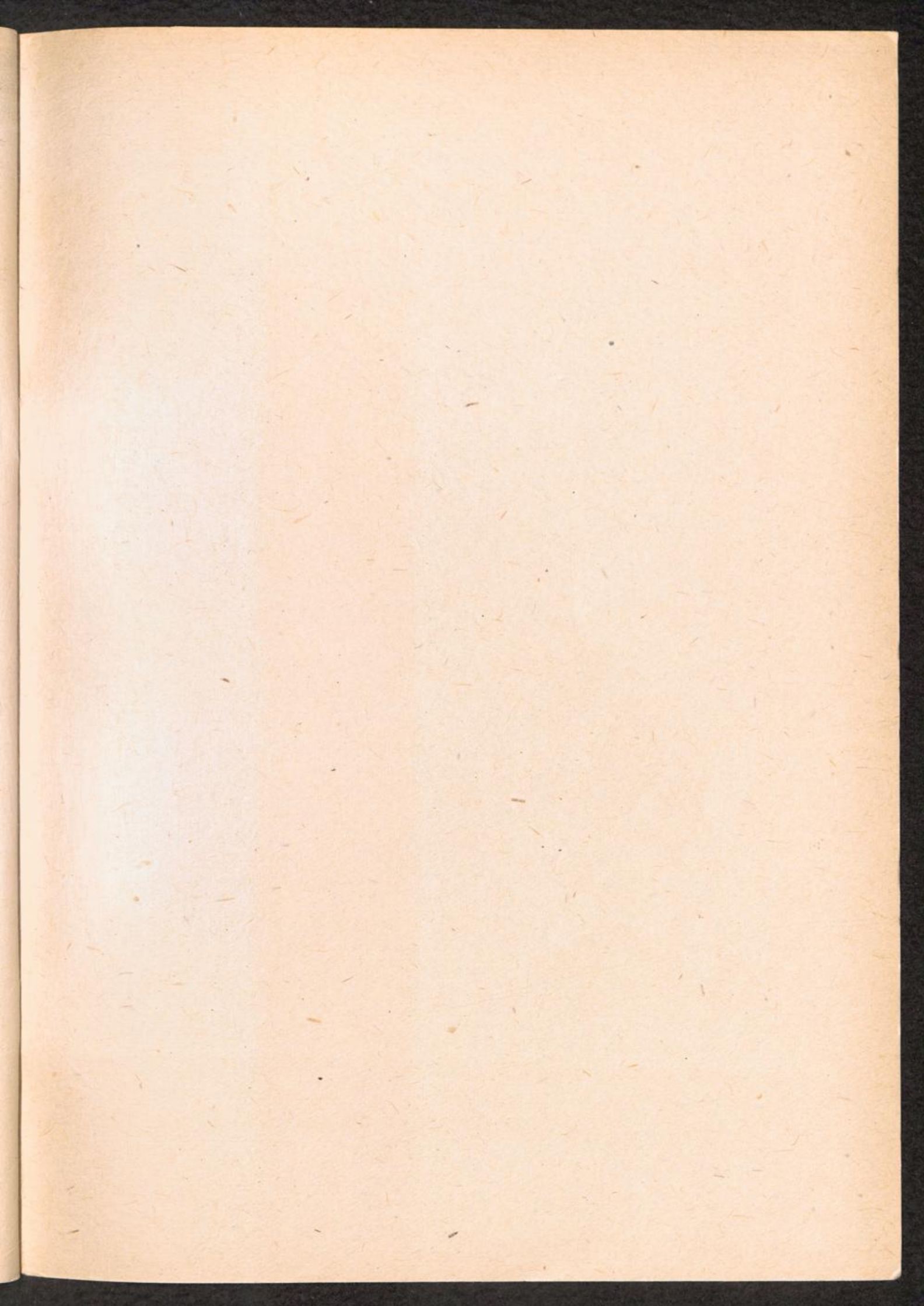
1	2	3	4	5	6
69	Lesocki Franciszek		P	12364	
70	Lesiak Marian	15.11.1920	P	16561	zmarł 15.12.44
71	Lewandowski Zygmunt	15.01.1921	P	3126	
72	Lewin		P		
73	Łapiński Tadeusz		P		
74	Łuczyn Sławomir		P		
75	Majchrzak Bolesław	22.10.1906	P		
76	Malinowski				
77	Mazur Józef	12.09.1903	P	7966	
78	Mącznik Tadeusz		P		
79	Michalczyk Ferdynand		P	87865	
80	Michalecki Władysław		P	87499	
81	Minor Zygmunt		P	1235	
82	Mizgała Stanisław	17.04.1919	P	782	zastrzelony podczas ucieczki 29.11.44
83	Mojecki Mieczysław	8.10.1914	P		
84	Mroczkowski Edward	30.01.1906	P	12402	
85	Napora Kazimierz	6.12.1904	P	9014	
86	Niemiec Ernest	15.04.1912	P		
87	Nowakowski Jan	9.08.1913	P	2632	
88	Nowicki Alojzy	21.06.1921	P		
89	Ogrodczyk Leon		P	10120	
90	Okniński Antoni	6.06.1909	P	9002	
91	Okrzesik Bronisław		P	11625	
92	Oruń Zygmunt	22.05.1924	P	10129	
93	Otto Zdzisław		P		zmarł w Mauthausen
94	Oziębło Ryszard	25.07.1910	P		
95	Padarewski Tadeusz	12.09.1926	P		
96	Piechowicz Tadeusz	1.07.1926	P	12006	
97	Pierzchała Jan		P	74863	
98	Piotrowski Jan		P	4269	
99	Piotrowski Krzysztof	9.01.1924	P	36219	stracony 19.6.44
100	Piotrowski Lech	2.08.1923	P	754	Kalifaktor
101	Pośpiech Karol	8.10.1903	P	40587	
102	Przybyłek Jerzy	21.09.1903	P	36163	
103	Reguła Jan		P		zmarł w obozie
104	Reifer Haskel		D		
105	Rękorajski Antoni	7.01.1903	P	40348	

1	2	3	4	5	6
106	Rogoziński Jan	14.11.1904	P	2808	
107	Rosołowski Kazimierz		P	4204	
108	Romanow Andrzej	8.11.1919	P	8297	
109	Rozbicki Mieczysław	3.03.1917	P	8299	
110	Rozwadowski Kazimierz	8.07.1914	P	36057	
111	Ruman Stanisław, Jan	26.06.1922	P	36222	rozstrzelony 19.6.44
112	Rylski Czesław	8.07.1925	P		uciekł z obozu
113	Ryński Leon		P		
114	Ryś Stefan		P		
115	Rzepka Kazimierz	5.02.1920	P		
116	Segal Szlama		Ż		
117	Siewlera Jan	23.12.1912	P	59295	
118	Sipiński Franciszek		P		
119	Skowron Marian	27.10.1920	P	36225	rozstrzelony 19.6.44
120	Ślotwiński Maciej		P		
121	Smarzewski Tadeusz		P	12583	
122	Smektała Medard		P		
123	Sobociński Antoni	10.03.1908	P	17266	
124	Solla Tadeusz	19.10.1921	P		
125	Srebrzyński		P	3256	
126	Soszka Wiktor		P	12611	
127	Stencel Florian	22.04.1922	P		
128	Swoboda-Lubczyński Stanisław		P	26093	
129	Szczepeński Zbigniew	15.08.1890	P	30630	
130	Szenkowski Edmund	16.03.1924	P	25584	
131	Szkup Wincenty	5.12.1926	P	36169	
132	Szulczewski Julian	5.09.1919	P	3256	
133	Szumilin Iwan	20.01.1921	P	32956	zmarł w obozie
134	Szumowski Ignacy	20.03.1912	R	43533	rozstrzelony 25.8.44
135	Szwarc	3.01.1912	P		
136	Śmietański Zenon	4.04.1923	P		
137	Świeca Stefan	7.02.1925	P		
138	Świeca Zygmunt	20.01.1923	P		
139	Świetlik Stefan		P		
140	Tański Stefan	25.01.1914	P		
141	Tański Tadeusz		P		
142	Tołłoczko		P		

1	2	3	4	5	6
143	Traczyk Edward		P	88951	zastrzelony w transporcie
144	Tuchsbrummer Benjamin				
145	Tupikowski Bogusław	14.03.1915	P	26122	z Pawlaka
146	Tymiński Marcin	11.11.1922	P		
147	Wanzeidel Zbigniew		P		
148	Weigiel		P		bl. 15
149	Wicek		P	27143	
150	Wielograj Kazimierz	15.09.1908	P	36456	zmarł w obozie
151	Wilczek Józef		P		
152	Wodyński Marian	1.11.1925	P		zamordowany w obozie
153	Wojtczak Zygmunt		P		rozstrzelony 19.6.44
154	Woźniak Jan	12.05.1924	P	36234	
155	Wroński Czesław		P		
156	Wroński Zygfryd		P		
157	Wróblewski		P	26174	zmarł w obozie lekarz rewiru
158	Wyrobiec Mirosław Bogdan	20.01.1909	P		
159	Wysłociuch Zenon		P		
160	Zabranny Leon		P		
161	Zaremba Antoni		P		
162	Zaremba Józef		P	5777	zmarł 6.3.45 w Bergen Bd.
163	Zasępa Jerzy	26.03.1925	P		
164	Zawadzki Ryszard		P	26454	
165	Zboiński Antoni	4.11.1915	P		
166	Ziółko		P	12256	z Pawlaka
167	Zwierzchowski Jerzy	20.05.1922	P	68	zam.w transp. ewak. I.45
168				20943	zam.w transp. ewak.
169				8047	zastrz.w transp. ewak.
170				69288	
171					

W następnych wydaniach wykaz ten będzie uzupełniany w miarę napływu materiałów wspomnionych w następujących wydaniach jeszcze wspomnianych i w oparciu o dotychczas wydane publikacje.





7

